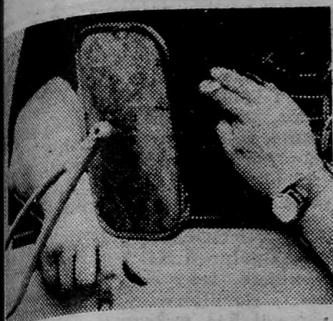
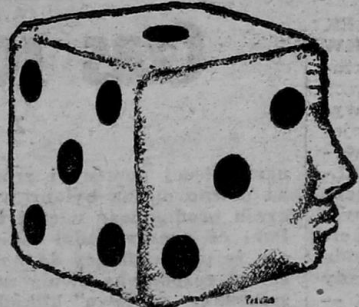




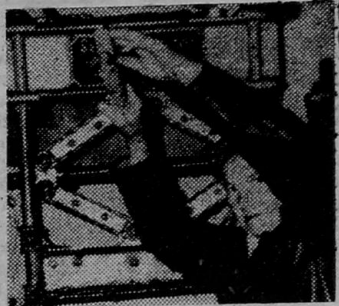
jakos się
kręci



11
milczące
teczki



12
poufny
dziennik
bez dat



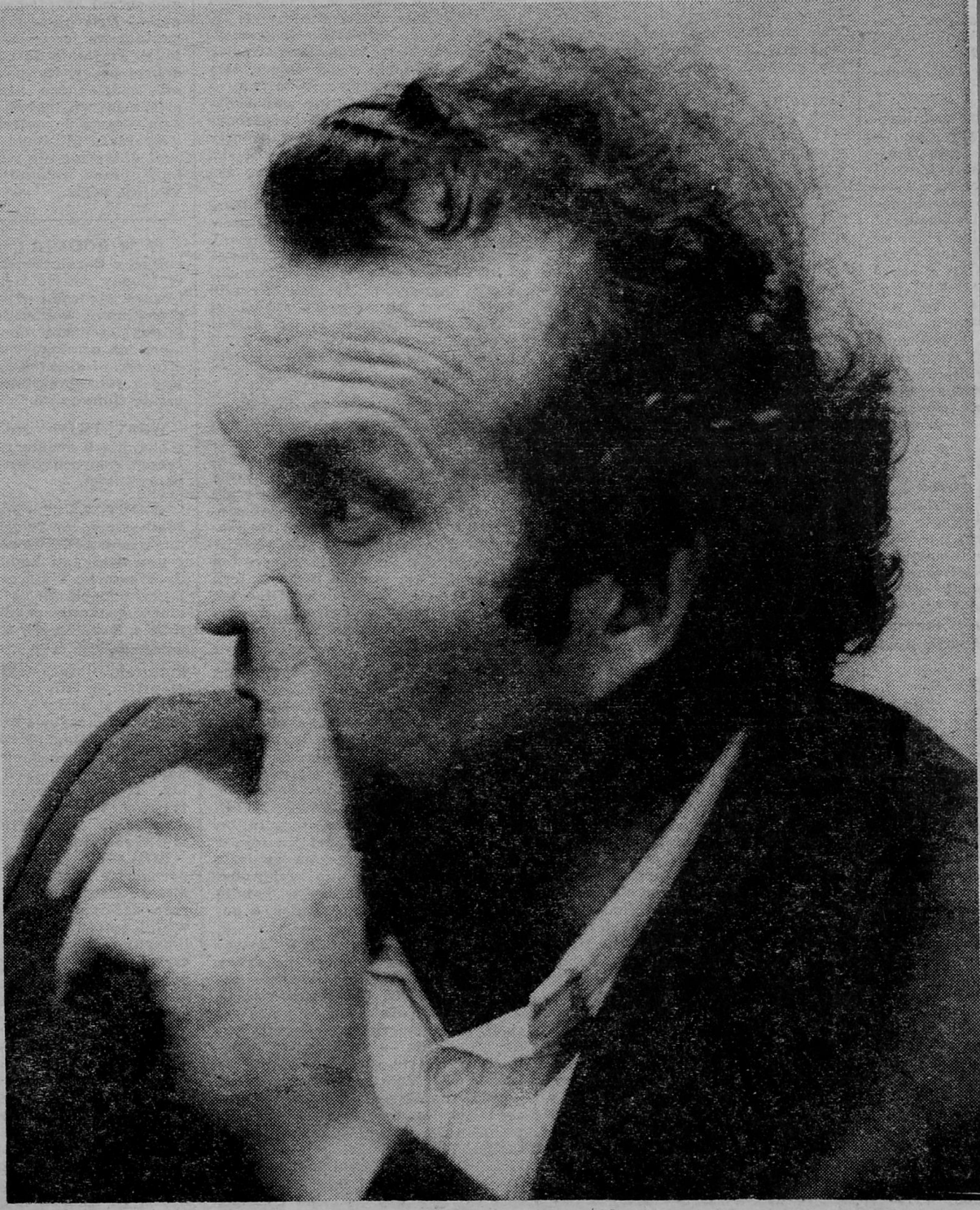
13
tokaj

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

17

KONTAKTY
19 X 80
Cena 4 zł



Fot. Gabor Lőrinczy

LEKCJE WEDŁUG „NARWI”

bunt nie przyszedł z zewnątrz

LECH GIZELBACH

PRZYPOMNIENIE: fala strajków dotarła w łomżyńskie z parotygodniowym opóźnieniem, kiedy już w kraju rozlegały się apele o rozagę i spokój.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

EWA BERBERYUSZ

scenariusz z Polski

Miejsce akcji w szerszym planie: Łomża, w węższym — w górze popijarskie, na którym w latach siedemdziesiątych firma turystyczna „Gromada” zbudowała hotel o nazwie „Polonez”. Wysokościowiec. Poczucie wysokości potęguje położenie: góra, i zaraz spadek w dolinę Narwi.

Kategoria hotelu: „trzy gwiazdki”; doba — 400 złotych, koszt zgubionego klucza — 300, kawa — 40 złotych, piwo — tyleż. Pracowników 130, w tym 30 umysłowych; szybko-bieżne windy, wypożyczanie telewizora do pokoi, pranie bielizny o-sobistej. Perna kultura.

Parter zajmuje kompleks gastronomiczny: kawiarenka, restauracja, bar oraz duża kawiarnia śniadaniowa z widokiem — najpierw na tunel szosy, potem na zespół szkół, których architektura przywołuje na myśl solidność i harmonię dawnych epok, a dalej — płaskie pętle rzeki i wieś Piątnicę.

Czas akcji: godzina 9—23. Pogoda bezchmurna, ciepło.

* * *

Dwa stoliki przy wejściu zajmują dwie bliźniacze pary. Młodzi, zadbani. Dużo biżuterii na rękach, szyi i w uszach.

Stolik nr 1 (pieczywko, maselko, jaja na boczku, kawa, rachunek już uszykowany: 210 złotych): spieszą się, no, te kilka słów... niech będzie. Jadą z Torunia. W podróży rekonesansowej po wschodniej Polsce. Branża skórzana, ściślej: wytwórnia kaletnicza (torebki, paski) po tatusiu; szukają zbytu. Asortyment nowoczesny, z katalogów RFN, na przykład, klamra typu „zacisk szponów”. — Pani chyba widziała w Warszawie? — A jak nie, to proszą do samochodu, pokażą.

Mają nadzieję, że Łomża chwyci, bo tu podobno nie ma: proszku do prania, pasty do zębów, a po herbatę „Popularną” jeździ się do Ostrołęki. No, ale — niestety — w branży skórzanej może być lepiej (westchnienie).

Więc oni teraz przeproszą, dzisiaj trochę przyspali (wstają), a chcieliby się rozejrzeć po mieście przed otwarciem sklepów. Nawet nie wiedzą, ilu tu jest agentów...

Stolik nr 2 (tatar, herbatka): niespieszni, dystygowani. On — czar-na wołga, taryfa; ona — kierownic-two restauracji (— Taka karczma w drzewie, 24 osoby personelu pod sobą) w Goldapi. Małżeński wypad od młyna codzienności, z góry w dół mapy (śmiech). Które z nich lepiej zarabia? Chyba małżonek. Na okragło kursy w tych mazurskich lasach. A Łomża? Jak im się podob-a? Jeszcze się nie rozejrzeli, a hotel — owszem.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

W UBIEGŁY PONIEDZIAŁEK (13.10 br.) obradowało Plenum KW PZPR. Referat Egzekutywy: „Aktualna sytuacja społeczno-polityczna w województwie łomżyńskim i wynikające z niej zadania dla wojewódzkiej organizacji partyjnej”, wygłosił sekretarz KW PZPR, **WALDEMAR SZPALIŃSKI** (główne tezy referatu przedstawimy w następnym numerze). W żywszej niż kiedykolwiek dyskusji zabrało głos 11 osób. Poniżej sygnalne ledwie fragmenty wystąpień, pozwalające jednak — tak przynajmniej sądzimy — wyrobić sobie opinie o temperaturze obrad, sposobie myślenia i intencjach mówców.

MIECZYSLAW GÓRSKI, I sekretarz KM-G w Wysokiem Mazowieckiem: — Odczuwa się, że niektóre nasze POP jakby zrobiły przystanek w swej działalności. Zmienić musimy styl i metody naszej działalności. Aktywność partyjny nie miał pełnej informacji, a co jest wart aktywność bez niej? Sygnalizowaliśmy to niejednokrotnie, ale słyszeliśmy: „Tyle samo wiemy co i wy”. Dużo się teraz mówi o demokratyzacji życia, o kontaktach z ludźmi. My to robimy, nie możemy się oderwać od ludzi choćbyśmy nawet tego chcieli. Nastąpiło rozluźnienie dyscypliny. Kierownicy i dyrektorzy zakładów nie czują się pewni, a to nie jest dobrze. W jednym z zakładów, kierownik przypomniał o konieczności rozpoczęcia pracy i usłyszał: „Nie poganiacie nas, by my was pogonimy”.

JAN DZIENISIUK, przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej: — Nadszedł czas przywracania lenińskich norm życia partyjnego i powrotu do sprawdzonych zasad samokrytycyzmu, ale bez samobiczowania. Na nowo trzeba rozważyć sprawę wydaleń, skreśleń i kar w partii. Zachodzi potrzeba ściślejszego połączenia działań KKP z organami kontroli społecznej, NIK-u i PIH-u. W ostatnich tygodniach nasiliła się ilość napływających skarg i listów do instancji i organizacji partyjnych. Rozpatrujemy wszystkie. I nadal to będziemy czynili. Należy odrzucić propozycję weryfikacji w partii, gdyż kryzys nie dotyczy wszystkich jej członków a tylko części kierownictwa.

KRYSTYNA KOSTRO, rolniczka ze wsi Moczydły Stanisławowskie, gmina Szepietowo: — U podstaw obecnego kryzysu leży zacośnienie naszego rolnictwa. Najwięcej nas, rolników cieszyły kolejne zapowiedzi szerszego zajęcia się rolnictwem indywidualnym. Mamy jednak odczucie, iż problem wsi nadal jest na marginesie. Przecież gdyby okazano

Czas rozumnej pracy

Z obrad Plenum PZPR

nam więcej pomocy i zrozumienia na pewno można byłoby w naszym kraju produkować więcej żywności. Póki co, mamy nadal takie sytuacje, że przyjeżdżający do wsi traktorzysta rozpoczyna swoje zajęcia od sprzedaży „na lewo” kilkudziesięciu litrów paliwa, a dopiero potem jedzie na pole. Doszło do tego, że nikt podobnych przypadków nie uważa za kradzież.

IRENEUSZ MAJEWSKI, kierownik Wojewódzkiego Zakładu Unasieniania Zwierząt w Piatnicy: — Już najwyższy czas na likwidację absurdów występujących na wsi. Podam przykład: z rodzającego się cielęcia robimy podroźnika, zmieniającego aż trzy razy rejon pobytu, a z kieszonki państwowej trzech kolejnych właścicieli pobiera jego równowartość. Cielak zamiast szybko przyrastać, jest przedmiotem nieuczciwych transakcji. A tylko na papierku mamy wysoki obrót materiałem hodowlanym.

RYSZARD ARASIMOWICZ, I sekretarz KZ PZPR w Zakładach Płyt Włókowych w Grajewie: — W ciężkich chwilach najlepiej sprawdzają się ludzie. Teraz już wiemy kto jest kto, na kogo można liczyć. Za mało mamy robotników w składzie KW. Czy to normalne, że ja, jako sekretarz, jestem członkiem wojewódzkiej instancji partyjnej, a nie ma w niej żadnego robotnika z ZPW? Niech partia będzie — partią, a administracja — administracją. Za dużo biurokracji nawet w kontaktach między instancjami partyjnymi. Pisemka, pismemka a od czego telefon?

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI, kierownik tartaku w Jedwabnem: — Usługi i zaopatrzenie wsi są bardziej niż tragiczne. Zauważmy, w dwutysięcznym Jedwabnem nie mamy lekarza, od lat wszystkie nasze dzieci cierpią na okropną próchnicę, i od lat nie możemy zapewnić mieszkańca nauczyciela, służbę rolniczą, pracownikom administracji. Czy taki schorowany organizm może właściwie funkcjonować?

JERZY NEWELSKI, prezydent Łomży: — Niebezpieczne jest, że tak dużo jest winnych. Jeszcze gorsze, że tak wolno zmienia się styl i metody naszej pracy. To utwierdza wielu w przekonaniu, że my sami chcemy zmieniać się najwolniej [...] Jesteśmy przestraszeni złem i w obawie zarzutu nie reagowania na

negatywne zjawiska wyrażamy opinie, lub wyciągamy sankcje na podstawie interwencji lub skargi czy anonimów nie bacząc na to, że stanowisko nasze musi wynikać ze znajomości, i to bardzo rzetelnej, sprawy. I to jeszcze bardziej podważa do nas zaufanie.

EULALIA SOBOTKO, dyrektorka Zespołu Szkół Rolniczych w Krzyżewie: — Kto zbrukał naszą partię? Przecież nie my, ideowi jej członkowie. Zbrukali ją ci, co nade wszystko cenili sobie korzyść osobistą. Był w naszej gminie sekretarz — pijak, żeby nie rzec — alkoholik. I jemu jeszcze towarzysze szukali pracy! Pomagać trzeba tym, którzy na to zasłużyli. Teraz wsparcia partyjnego oczekują ludzie, którzy ciężko przeżyli ostatnie wydarzenia i nie mogą się po nich pozbierać.

RYSZARD MALINOWSKI, rolnik z gminy Trzecie: — Już pięć lat po reformie podziału administracyjnego, a komunikacja z Łomżą jak za poprzednich czasów. Trudno dojechać też do odległego o 45 kilometrów Grajewa, gdzie musimy się leczyć, badać (szpital), ściągając do geesu materiały budowlane, węgiel, pasze... A Monki pod okiem, tam stacja kolejowa, tylko że to już inny kraj, czy raczej inne województwo, więc niech gospodarka narodowa płaci za wydłużone transporty towarów, niech ludzie męczą się, niech narzekają na utrudnione życie.

Jestem rolnikiem — specjalistą. W tym roku miałem nieszczęście rozpocząć budowę dużej chlewni. Przydział cementu, owszem dostaliśmy, i to nie po znajomości lecz decyzją komisyjną. Ale jak przyszło do odbioru, prezes geesu zabrał mi 3 tony. Wystarczyło, że dał urzędnicze kartkę: „Obciąż przydział” i zanim to odkryłem, zmarnowałem cały dzień.

HENRYK GRYKO, przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZSMP: — Na VI Plenum KC PZPR przeanalizowano przyczyny kryzysu. Naszym zadaniem jest poszukiwanie dróg wyjścia. — To co się stało nie jest wynikiem błędnych założeń socjalizmu, ale nieumiejętnego realizowania jego założeń... Partia wiele w ostatnim okresie straciła. Proces ten nie zaczął się jednak w lipcu tego roku a dużo wcześniej. Głoszone przez nas treści od dawna odbiegały się zbyt mocno z tym, co na co

dzień widzieli i czuli obywatele naszego kraju. Reżyserowane dyskusje, drobiazgowo ustalany przebieg akademii i spotkań prowadziły do odłączenia się myślenia. Powstało przekonanie, że na nic to gadanie i nie warto sobie strzepić języka. Było to uśpienie całej masy ludzi, ale jeszcze nie utrata przytomności.

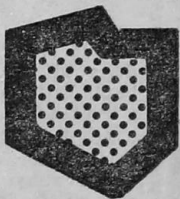
ANTONI GÓRNY, kierownik Wydziału Ogólnego KC PZPR: — Najistotniejsze, żeby cała nasza partia przeszła do ofensywy, żeby skupiła się wokół KC, nabrała zaufania we własne siły. Nie tylko błędy mamy na swoim koncie. Nie zaprzeczamy, że także nas dorobek. Teraz jest dużo konkretnej krytyki, nie brak i demagogii, że wszystko jest złe. Niektórzy pchają nas pod pręgierz [...] Trudności narastają, sytuacja stale się wręcz dramatyzuje. Pamiętamy myśl VI Plenum KC PZPR: Jeśli nie będzie lepiej w gospodarce — to wszystko inne straci sens [...] Nie odstępimy od procesu odnowy. Zaufanie zostało zerwane. Nie słowa były złe lecz praktyka. Nie chcemy niczego ukrywać, niczego tuszować. Chcemy w sposób konstruktywny zmieniać nasze życie społeczno-gospodarcze. Ale nie damy się zepchnąć na ścieżki i drogi nam obce.

Z PRZEMÓWIENIA (na zakończenie obrad) **Waldemara Szpalińskiego**: — Dziś niepotrzebna jest nam gabinetowa odwaga, a wyjście do ludzi. Trafianie do nich, pobudzanie dobrej pracy. Rozmawiajmy z ludźmi codziennego trudu, z ludźmi zwyczajnymi, takimi jak my, mającymi prawo do uniesień, do zdenerwowania. Musimy ich zrozumieć, zbyt długo nie mówili. Bez nich, ludzi pracy, robotników partia nie zwojuje wiele.

W 36 ROCZNICĘ powołania MO i Służby Bezpieczeństwa w KW MO w Łomży odbyło się spotkanie aktywu z władzami polityczno-administracyjnymi województwa. Podczas uroczystości wręczono funkcjonariuszom 142 nominacje na stopnie oficerskie i oficerskie; 28 nowo przyjętych funkcjonariuszy złożyło uroczyste ślubowanie.

WSZYSTKIM NAUCZYCIELOM z okazji ich święta redakcja składa życzenia owocnej pracy i wszelkiej pomyślności.

„KONTAKTY” uczestniczyły w spotkaniach ze swoimi Czytelnikami: z wojewódzkim aktywem ZSMP, z pracownikami kombinatu w Grady Wonięcko i załogą łomżyńskiej fabryki mebli. Relację z tego ostatniego spotkania zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.



PODCZAS OBRAD wznowionego VI Plenum KC PZPR (które trwały dwa dni i całą noc) wzięło udział w dyskusji 70 mówców, a 23 głosy złożono do protokołu. Dokonano ostrej krytyki dotychczasowego stylu rządzenia i błędów, które doprowadziły do załamania gospodarczego i kryzysu zaufania; postulowano stworzenie realnych gwarancji, które przekonają społeczeństwo, iż nie zostaną popełnione ponownie błędy. Wypowiedziano się za pociągnięciem do odpowiedzialności winnych, szerszym dostępem bezpartyjnych do wyższych stanowisk, przywróceniem samorządności w organizacjach społecznych i demokratyzmem w łonie samej partii, której sprzyjałoby wprowadzenie rotacji na kierowniczych stanowiskach aparatu, wyraźniejsze rozdzielanie stanowisk w administracji gospodarczej i w partii. Zapowiedziano kompleksową reformę gospodarczą. Postanowiono zwołać wkrótce IX nadzwyczajny Zjazd PZPR. Podjęto decyzję o odwołaniu z Komitetu Centralnego PZPR za jaskrawe błędy popełnione w kierowanych przez nich dziedzinach następujące osoby: Edwarda Babiucha, Zdzisława Żandarowskiego, Jerzego Łukaszewicza, Jana Szydłaka, Tadeusza Wrzaszczyka, Tadeusza Pykę i Macieja Szczepańskiego. Na sekretarza KC powołano Kazimierza Barcikowskiego a na za-

stępów członków Biura Politycznego: Władysława Kruka i Romana Neyę. Członkiem Sekretariatu KC został Stanisław Gabrielski.

NA POSIEDZENIU Sejmu PRL przyjęto ustawę o podporządkowaniu mu Najwyższej Izby Kontroli, której prezesem pozostał Mieczysław Moczar. Sejm rozważył także wstępne założenia projektu planu na rok przyszły, w którym zakłada się wzrost produkcji przemysłowej o 3-4 proc., dochodu narodowego o 1-1,5 proc., spożycia o około 2 proc. oraz poprawę salda handlu zagranicznego o ponad 2 mld zł dew. Ze stanowiska wiceprezesa Rady Ministrów odwołano Kazimierza Barcikowskiego i Tadeusza Grabskiego (w związku z wyborem na sekretarza KC PZPR). Na nowych wiceprezów powołano: Stanisława Kowalczyka, Stanisława Macha, Romana Malinowskiego. Ze stanowiska ministra odwołano: Franciszka Kaima, Włodzimierza Lejczaka, Zygmunta Najdowskiego, Jana Kamińskiego i Wiktora Sielanę. Na nowych ministrów powołano: Mieczysława Głanowskiego (górnictwo), Władysława Jabłońskiego (przemysł lekki), Mirosława Milewskiego (MSW), Zbigniewa Szalajdę (hutnictwo), Józefa Tejchmę (kultura i sztuka), Jana Załęskiego (przemysł spożywczy i skupu).

CZWARTYM POLSKIM laureatem Nagrody Nobla został poeta i prozaik — Czesław Miłosz. Wybrany on został spośród 150 kandydatów. W wypowiedzi dla telewizji amerykańskiej laureat powiedział, iż uważa siebie za Polaka i polskiego pisarza i w tym duchu przyjmuje tę nagrodę. (Kolumnę poświęconą Czesławowi Miłoszowi zamieścimy w numerze następnym).

W BIEŻĄCYM ROKU zebraliśmy

19,2 mln ton zbóż, tj. o 2 mln ton więcej niż w roku ubiegłym. Mimo to do planu zabrakło 2,3 mln ton. Natomiast zbiory ziemniaków (szacowane na okło 37 mln ton) są o 8 mln ton mniejsze niż planowano i o około 12 ml ton niższe niż w ubiegłym roku.

NIEDOMAGANIA ZAOPATRZENIA spowodowały w sierpniu br. spadek sprzedaży detalicznej w wielu rejonach. Najgorszą sytuację pod tym względem ma województwo łomżyńskie, gdzie w handlu większym zanotowano spadek o ponad 10 proc.

ZMNIEJSZENIE SKUPU żyweca spowoduje dostarczenie na rynek (mimo 30 tys. ton dodatkowego importu) tylko 500 tys. ton mięsa, tj. o 60 tys. ton mniej niż w ubiegłym roku. W październiku — decyzją Rady Ministrów — do sklepów mięsnych trafi tyle samo towarów co rok temu. Zamierza się zachować poziom zaopatrzenia z roku ubiegłego także w listopadzie i grudniu, jednak szansa taka wydaje się mało realna. Występuje także deficyt cukru: planowano, iż miało być go w tym roku ponad 1,7 mln ton, a szacuje się, że będzie go tylko 1150 tys. ton. Potrzeby krajowe natomiast wynoszą 1,6 mln ton.

W „POLITYCE” Marek „Blaut” stwierdza: Uważam za konieczne głośne domaganie się zlikwidowania w naszym życiu politycznym zasady dożywotniego (czyt. dowsztrąsowego) sprawowania wysokich funkcji partyjnych i państwowych. Kosztowne struktur personalno-organizacyjnych powoduje głuchotę i ślepotę po kilku latach.

STEFAN BRATKOWSKI w artykule „Kto z czego żyje?” („Literatura”) wyliczył: Gospodarka narodowa zarobiła na zaspokajaniu potrzeb

kulturalno-informacyjnych społeczeństwa w latach 1971-1977 blisko 100 mld zł zysku na czysto [...] Gospodarka narodowa nie dokłada więc do zaspokajania potrzeb kulturalno-informacyjnych społeczeństwa, lecz na zaspokajaniu tych potrzeb zarabia. Koszty utrzymania bibliotek, teatrów, filharmonii, czytelni, wypożyczalni itp. są drobnym procentem tych sum.

RÓWNIEM W „LITERATURZE” poruszając problem deficytu płatniczego konstatuje się istnienie sporego deficytu informacji o rzeczywistej powadze chwili. Autor (Kallimach) zadaje pytania: Co w rzeczywistości oznacza fakt, iż całość polskiego eksportu w skali rocznej pochłania obecnie tzw. obsługa zaciągniętych kredytów, czyli zadłużenia. Co oznacza w rzeczywistości fakt, że wiele naszych bogactw naturalnych zostało sprzedanych na wiele lat naprzód — tak, że długi czas jeszcze trzeba będzie je wydobywać i wywozić, gdy pieniądze za to zostały już dawno wzięte. [...] Kwestia publicznego rozliczenia osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy wydaje się sprawą nie mniej ważną ze społecznego punktu widzenia niż pociągnięcie do odpowiedzialności osób winnych zwyczajnych nadużyć — kradzieży, nepotyzmu czy zagarnięcia społecznego mienia.

NOWYMI I SEKRETARZAMI KW PZPR zostali: we Wrocławiu — Tadeusz Porębski (na miejsce Ludwika Drożdża) i w Toruniu — Zygmunt Najdowski (na miejsce Bolesława Kapitana).

ZATWIERDZONA ZOSTAŁA (przez Wiktora Zina) ostateczna wersja pomnika stoczniovców poległych w grudniu 1970 roku, którego odsłonięcie przewidziane jest w X rocznicę pamiętnych wydarzeń.

punkt widzenia

czy potrafią się zmienić

JERZY CMIELEWSKI stolarz w „Powogazie” w Łomży. W 1956 roku, pracowałem wtedy w innym zakładzie, trzy tysiące załogi krzyczało: „Jesteśmy z wami towarzyszu Wiesławie”. Co tu gadać. Czasy się zmieniają, etykieta, jaką człowiekowi przypisano, zostanie. Pojechałem teraz do Gdańska. Widziałem się z Lechem Wałęsą. Udało mi się nawet dostać statut nowych związków. Lecz tutaj nie ma na to żadnej reakcji.

Mamy stary zakład. W centrum Łomży wygląda jak firma króla Cielewki. Nie opłaci się według mnie go już zmieniać. O nowym zakładzie mówi się co najmniej od dziesięciu lat. Niech pan popatrzy: obejmował władzę Gomułka, wszyscy cieszyli się z tego. Został potępiony. Nastąpił Gierek, też przyjmowali go z apłauzem. Zwrócił się do nas ze swoim sztandarowym hasłem: „Pomożemy”. „Pomożemy” odpowiadaliśmy chórem. I co z tego wyszło? Teraz, podobnie jak w roku 1956, pojawia się słowo „Odnowa”. Dla wielu jest to następny slogan. I co ciekawe, operują nim ludzie, którzy zajmowali poprzednio wysokie stanowiska. Mogli więc wpływać na zmianę decyzji, a jeśli nie, to przynajmniej zdecydowanie zaprotestować. Czekali okazji, bo bali się o swoje posiadki.

Stoimy znów w obliczu nowych wielkich słów. Słów tych samych. Mówi się o odmianie, a u góry siedzą prawie ci sami ludzie. Przesunęli się tylko o jeden stołek, dwa. Boję się, czy potrafią się zmienić.

przeciw niesprawiedliwości

JÓZEF ZDROJEWSKI, robotnik, członek partii od 1947 roku: Właśnie, to jest ciekawe, jak decyzje VI Plenum PZPR przyjmują załogi zakładów, które strajkowały. „Powogaz” pracował cały czas. Było zebranie, przedstawiliśmy postulat. Podwyżki już dostaliśmy. Bardzo dziwię się temu wszystkiemu, co ostatnio dzieje się w naszym kraju. Powstają nowe związki zawodowe. Po co to jest potrzebne? Żebyśmy tylko przestrzegali tych wszystkich uprawnień, które już mamy! Wiadomo, winę za to, co się stało, ponoszą najważniejsze władze, lecz na pewno nie cała partia. Oczywiście, działają rzeczy paradoksalne, które przeciętnemu człowiekowi nie mieściły się nawet w głowie. Przecież nie ma sensu robić podwyżki płac, jeśli ma zaraz pójść za tym utajona podwyżka cen.

Teraz mam 600 złotych więcej. Tyłem samo otrzymali wszyscy. Ciekawe, jak to się odbije na zaopatrzeniu. Przecież wiadomo, w jakiej jesteśmy sytuacji. Myślę, że członkom partii i społeczeństwu nie potrzeba pięknych słów. Wystarczy gorzkie, ale prawdziwe, wiernie oddające całą sytuację. Obawiam się, czy nie popełnimy tych samych błędów. Zadłużenia rosną. Niesprawiedliwość w kraju jest nadal bardzo duża. Weźmy chociażby pod uwagę mieszkania — są tacy, którzy mają własne wille i zajmują mieszkania spółdzielcze z tą tylko różnicą, że figuruje ono na nazwisko babci, stryżki i wujka, a w rzeczywistości z reguły bywa wynajmowane za grube pieniądze. Podobnych przykładów można przytoczyć więcej. Nadużycia są wprost proporcjonalne do zajmowanych stanowisk. Później dziwnym się, że jest w kraju źle. Jeśli nie pomyślimy o interesie wszystkich, tylko każdy będzie ciągnął do siebie, to nie nam nie pomogą nowe związki zawodowe i najlepszy program rozwoju. Zanim coś ustalimy, rozliczmy wszystkich z realizacją ustawy poprzedniej.

(sz)

Tracimy czas na szufladkowanie życia: tu sprawy rodzinne, tu służbowe, tu miłość, a tu nienawiść; a ono wysypuje się z tych szuflad. Zabieramy do pracy dylematy niezapłaconych rachunków. A z powrotem ciągniemy bagaż służbowych spięć, konfliktów, nie załatwionych ludzkich spraw. Łatwo nie jest. Zwłaszcza gdy jest się konflikto-
wcem z zawodu, jak Jan Makaruk - wojewódzki inspektor pracy.

Makaruk porównuje to, co jest w zakładach pracy do tego, jak być powinno. A jest niedobrze. Więc musi być ostrożny. Zastrzegać się. Obchodzić rąfą znajomości, koligacji rodzinnych i terytorialnych. Bo nie tylko sam może się o nie rozbić, ale i narażać rodzinę. Ci, których ukarał, podał na kolegium — wiadomo — nie chwala go... No cóż, ryzyko zawodowe. Rodzina powinna się jednak co najwyżej domyślać kłopotów.

Przyjechał do Łomży przed pięcioma laty z województwa warszawskiego. Ma tytuł inżyniera i szkoleń inspektorów pracy. Zamieszkał, jak wielu przybyłych do Łomży, na osiedlu Jantar. Z żoną Jadwigą i trzyletnim synkiem Tomkiem. Przed dwoma tygodniami rodzina powiększyła się o córeczkę.

Córeczkę chcemy nazwać Magdaleną. Właściwie już ją tak nazywamy. Tylko w Urzędzie Miejskim nie możemy dziecka „zarejestrować”. Żadają odpisu świadectwa ślubu. Nieważne dla nich, że takie świadectwo złożyłem zgłaszając urodziny Tomka, że w dowodzie mam pieczętkę. Musi być drugie. Ale to drobiazg, najważniejsze, że żona i córeczka czują się dobrze.

— Ze strachem myślę — pani Jadwiga jest realistką — jak sobie poradzę z pieluchami. Mieszkam w domu niedogrzane. Spółdzielnia nie reaguje na nasze monity. Ale, ja tu o domowych kłopotach...

— Zajmuje pan w związkach zawodowych stanowisko potrzebne. Pracownicy nie mówią o inspektorach pracy źle, tak mi się wydaje...

— Dziś jeśli mówię, że jestem z WRZZ ludzie patrzą na mnie krzywo. A kiedy przedstawiam się jako inspektor pracy — krzywo z kolei patrzy na mnie dyrekcja. Inspekcja jest w zasadzie pionem samodzielnym. Angaż dostaję z Głównego Inspektoratu Pracy. A pełna nazwa mego stanowiska pracy brzmi — wojewódzki inspektor pracy przy WRZZ.

Utrudnienia? Jest ich dużo. Przyszkoda w prawidłowym rozwiązywaniu problemów pracowniczych jest, chociażby, nieprecyzyjność w sformułowaniu niektórych przepisów. W takiej sytuacji, kiedy przepis jest niejasny daje on możliwość dwójakiej interpretacji. Często sprzecznej z interesem robotnika, a nawet z samą intencją wydania tegoż przepisu.

Kierownicy zakładów pracy — na przykład — wymagają od radców prawnych takiej interpretacji przepisów, która uzasadniałaby zajęte przez nich stanowisko. Przy-

kład może typowy: w jednym z łomżyńskich zakładów dyrektor przeniósł pracownika z jednego stanowiska na inne i uznał, że w takim wypadku zamiast należnego pracownikowi urlopu — może mu wypłacić ekwiwalent. Robotnik natomiast chciał — i miał do tego pełne prawo — wykorzystać swój urlop. Tymczasem radca prawny zinterpretował błędnie — na polecenie szefa — przepis, mówiący o tym, że ekwiwalent wypłaca się w przypadku odejścia pracownika do wojska, lub rozwiązania stosunku pracy.

Albo ostatnio. Elektryk uległ wypadkowi przy pracy. Do wypadku nie doszłoby, gdyby maszyna, przy której pracował miała osłonę. Zakład uznał, że wina jest obu stroną, bo pracownik nie powinien przystępować do pracy przy maszynie bez osłony. Trzeba było dopiero, po długich korowodach, decyzji Najwyższego Sądu Pracy, żeby wypadek uznano za wypadek przy pracy, a elektryk dostał należne mu świadczenia.

Nie wszystko jest takie proste. Mogę wydać nakaz, żeby kierownictwo zakupiło odzież ochronną. Co z tego nawet, że ukarzę dyrektora mandatem, kiedy nie ma odpowiedniej odzieży. Co z tego, że wydałem nakaz zamknięcia szpitala w Grajewie, bo sufit się wali? Gdzie przenieść chorych? Często więc i moje działania okazują się nieskuteczne. A przy tym interweniuję tylko w wyjątkowych sprawach. Docieram do małego ułamka problemów. I te w miarę moich możliwości staram się usunąć.

Niekiedy ludzie nawet nie wiedzą, że do wypadku nie doszło na skutek wcześniejszej interwencji inspektora. Przed paru laty oddawano do użytku wytwórnię pasz. Zaczynałem wtedy pracę. Przy odbiorze zakładu komisja stwierdziła ponad 140 usterek. Komisja, rozjechała się, a ja zostałem z tymi usterekami i dyrekcją szermującą hasłami o konieczności produkcji, o efektach gospodarczych. To i owo pokazałem palcem. Między innymi „uparłem się”, żeby obudować mechanizm kół zębnych, zresztą zgodnie z zaleceniami komisji. Dyrekcja tłumaczyła, że tego nie ma w projekcie. Nam chodziło głównie o to, żeby nikt w te tryby się nie dostał. Ale życie dopisało przed rokiem, czy dwoma laty dalszy ciąg tej sprawy. Żle smarowane tryby zapaliły się. A zapalenie na niektórych stanowiskach pracy w tym zakładzie przekracza o 40 procent dopuszczalne normy. Gdyby nie te osłony doszłoby do wybuchu. A skutki... lepiej nie mówić.

Przestrzeganie istniejących przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy — a proszę mi wierzyć mamy w tej dziedzinie dobre przepisy — i trochę wyobraźni wystarczyłoby, aby wypadków uniknąć. Bo czym, jeśli nie brakiem wyobraźni i nieprzestrzeganiem elementarnych zasad bezpieczeństwa można wytłumaczyć to, co zastałem kiedyś w kotłowni przy ulicy Pięknej. Czad zatrwał pomieszczenia. Bezciski z karbidem stały obok butli z tlenem, a na to kapala woda. Takie same metalowe beczki z karbidem stały w garażu, wmarznęte w ziemię. A przecież wiadomo, że jakby metal przedzierał, woda plus karbid dalałyby acetylen... I tak, jak w poprzednim przykładzie mogło dojść do wybuchu.

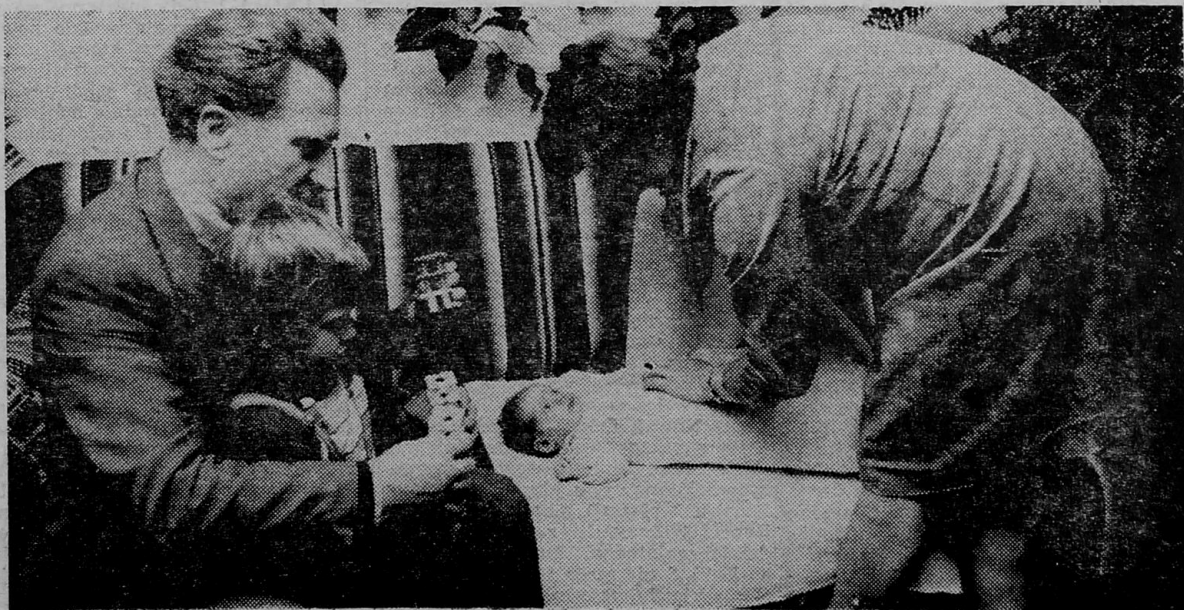
Jakie mam środki? Mogę wydać nakaz. Ukarać karą pieniężną. Skierować wniosek do kolegium. Ale co mam zrobić, gdy nie ma pieniędzy na zakup butów gumowych. Jaki mam wpływ na to, że w browarze w miejscach świetlicy uruchomiono kapslownię?

Spotykam się też z przypadkami, gdy właściwe poinformowanie pracownika o przysługujących mu prawach, wskazanie drogi dochodzenia świadczeń zażegnałoby konflikt. Ostatnio w jednym z zakładów rozwiązano z człowiekiem umowę o pracę z powodu przedłużającej się, ponad ustawowy okres, choroby. Niby prawidłowo, ale zakład pozostawił pracownika przez pół roku bez środków do życia. Nie dopełnił obowiązku, jaki na nim ciąży — pomocy w załatwieniu spraw formalnych związanych z rentą. Najsmutniejsze, że urzędnicy służb społecznych tego zakładu i dyrektor czują się w porządku, bo... dali człowiekowi druczki do ręki. Zetknąłem się też z pracownikiem, który przez siedem lat nie korzystał z urlopu. Ostatnio pojawiło się szereg przypadków, kiedy pracownikom odchodzącym z zakładów potrącano z poborów należności z tytułu pobranej odzieży ochronnej. Nagminnie jest przechowywanie w aktach pracowników kar — sprzed pięciu, dziesięciu lat. Są nawet próby używania ich jako argumentów w rozprawach przed komisjami odwoławczymi.

Rodzina odczuwa to moje branie na siebie cudzych kłopotów.

— Ale teraz, gdy mówią o indolencji związków zawodowych ty możesz śmiało patrzeć robotnikom w oczy...

— Jak będzie? Nie wiem. Na ostatnim zebraniu inspektorów zebrano nasze opinie. Kazano pracować.

TERESA POLECKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

cudze kłopoty w rodzinie

co u państwa słychać?

kontakty kontaktów

W rubryce kontakty „Kontaktów” jak i w całych „Kontaktach”, to tak jak w Partii. Nie ma i nie może być pod własnym adresem żadnej krytyki, a tylko samouwielbienie. Zamieszczacie chwalebne listy ludzi prawie z całej Polski. Na co to? Czy wszyscy są tacy zgodni? Gdzie są odczucia i opinie mieszkańców Ziemi Łomżyńskiej o piśmie?

Mnie, jak i wielu przyjaciół łomżyńskich „Kontakty” nie zadowoliły. Czytam je jak każde inne pismo, a nie jak własne, łomżyńskie. Nie bierzcie udziału w życiu! Jesteście tylko, aby realizować własne cele. Nie spełnacie tego co powinniście, czego oczekują rodowici mieszkańcy Ziemi Łomżyńskiej. Jest to chyba zrozumiałe, bo skąd Wy pochodzicie? Dlaczego dotychczas nikt się nie przedstawił na łamach pisma? Same nazwiska nie nie mówią, a brzmią dość obco.

Przez kolejnych trzynaście numerów nie pofatygowaliście się przedstawić żadnego zakładu pracy woj. łomżyńskiego. A byłoby co prezentować, jak nigdy w dotychczasowej historii. Są tam przecież ludzie, którzy przeżyli wielu dyrektorów i sekretarzy, a życie zakładu jest częścią ich życia. Jest już przesyty reportaż i wchodzenia w życie rodzin choć ich przedstawianie na str. 3 — jak najbardziej wskazane i cenne.

Dlaczego poza zdjęciami nie ma nic z historii miasta, sprzed I i II wojny, i tej powojennej? Są ludzie którzy ją znają, a młodemu pokoleniu przydałoby się to.

Dlaczego nie ma nic z Łomży dzisiejszej i Łomży przyszłości. Jakże kierunki rozwoju, urbanizacji? Dlaczego nie rozmawia się z prezydentem miasta, z architektami, urbanistami, którzy jak dotychczas niszczą tradycje, starą architekturę i wszystko, co z tym związane. Czy są oni nieosiągalni? A może nie potrafią cokolwiek powiedzieć? Przedstawcie osoby, które niszczą ulicę Kapucyńską (nie zabudowę), którzy zniszczyli internat Technikum Budowlanego. Dlaczego zniszczono zieleń na Szosie Zambrowskiej, ul. Sikorskiego? Prowadzone tam prace wcale tego nie wymagały.

Czy zbuduje się dworce, kiedy będą zamiast niego wjazdy ulice do Łomży? Myślę tu o ulicy Świerczewskiego, Wojska Polskiego, Nowogrodzkiej. Przecież teraz wstyd przywozić do Łomży swoich znajomych z innych miast. Panowie Wojewodowie, panowie Prezydenci, panowie Sekretarze, Redaktorzy, czy wy tego nie dostrzegacie, czy nie macie wstydu? Dlaczego nie myje się autobusów komunikacji miejskiej? Dlaczego milicja nie reaguje na niszczenie chodników przez samochody, na niszczenie zieleni, na bałagan uliczny?

To są problemy, o których trzeba koniecznie pisać. Nie wynikają one z jakichkolwiek braków technicznych, inwestycyjnych, a jedynie z lenistwa, niechlujstwa, lekceważenia itp.

Zamieszczajcie informacje o punktach usługowych, o punktach skupu owoców, o aktualnych cenach, o targowiskach, czyli jeszcze raz o życiu miasta. Dlaczego hala targowa nie jest wykorzystywana do celów w jakich ją wybudowano, a produkty żywnościowe sprzedaje się w błocie, kurzu, wśród śmieci? Jakże miasto może sobie na takie marnotrawstwo pozwolić. Sklepem meblowym też nie jest, bo mebli tam nie ma.

Stwierdzam, że redakcja poszła na łatwiznę. Prościej jest pojechać na wieś, przysłuchać się czemuś i ująć to w ramy literackie niż dociec problemów ogólniejszych, bo dotyczących znacznie większej zbiorowości. Łatwiej przedstawić czasem nawet w złym świetle jakąś rodzinę niż niedowład administracji. Rozumiem panów redaktorów. Zmusiłoby to ich do codziennej pracy z narażaniem się, może nawet i władzom. A przez to można stracić pozycję, posadę i chyba dobre pieniądze. Zawód redaktora też chyba do czegoś zobowiązuje. Zresztą w ostatnich tygodniach coś na ten temat było.

Marzy mi się, żeby „Kontakty” były płaszczyzną do rozmów miesz-

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Jeszcze w pierwszych dniach września dozór zakładów sądził, że ominie ona ten teren. Przy fabrycznych portierniach ustawiono wzmocnione stráže wierząc, że ta izolacja uchroni zakłady od wstrząsów. Ale bunt nie przyszedł z zewnątrz. Wyrósł z zakładowej gleby, kumulowanego latami niezadowolenia. Wydarzenia na Wybrzeżu proces ten przyspieszyły. Choć w porozumieniu ze Szczecinem, Gdańskiem i Jastrzębią zapowiadano spełnienie robotniczych oczekiwań w całym kraju, to przecież każdy zakład miał własne sprawy do załatwienia. Załogi podejmując je i rozstrzygając chciały poczuć swoją siłę i potwierdzić robotniczą tożsamość.

LECH GIZELBACH

Jestem w „Narwi” pierwszego dnia września. Na tydzień przed wybuchem strajku. Nic go jeszcze nie zapowiada, jeśli nie liczyć wzmożonej czujności wobec każdego, kto z zewnątrz. Skąd mogę wiedzieć — tłumaczy mi jeden z dyrektorów — czy nie jest pan emisariuszem z Wybrzeża. Tu nikt nie chce strajków. Nikt nie chce — a jednak do strajku dojdzie.

Z zyczliwości dyrektora dostaję przewodnika opiekuna, który zaprowadzi mnie do kantorka przyległego do tkalni. On też dobierze mi ludzi, z którymi warto rozmawiać. Wkrótce opublikuję ich „punkt widzenia” na łamach „Kontaktów” żeby później dowiedzieć się, że nie jest to ich punkt widzenia, nie ich myśli, bo wtedy dopiero myśli swe zbierali aby z czasem współgrały z najodważniejszymi.

W trzy dni później z tego myślenia zrodzą się postulaty. Na razie są bólaćki, zgłaszane latami według obowiązującego wzorca, które da się usunąć niemal od ręki: jedni dopominają się dobrej wody do picia, gdzie indziej na czas nie doważą do bufetu świeżego pieczywa. Ot, takie dobrze znane, nikomu nie zagrażające utyskiwania. To się da łatwo unormować. Czyż więc są powody do większego niezadowolenia?

Wkrótce jednak okaże się, że te narzekania zgłaszane są jakby dla niepoznaki. Prawie każdy od dawna nosi coś w zanadrzu: niecenzurowany żal i głębsze niżby ktoś sądził, niezadowolenie.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Spróbujmy spojrzeć w jeszcze spokojne — sądząc po oficjalnych dokumentach — życie załogi. W lipcu odchodził dyr. Andrzej Kuchniewski, który — jak się wtedy mówiło — postawił „Narwę” na nogi. Potrzebny jest w większych zakładach gdzieś w Łódzku. Na jego miejsce przychodzi z Zambrowa dyrektor Tadeusz Sawicki. Po tej zmianie nadal normalnie: celebrowane narady, konferencje. Takie posiedzenia Rady Zakładowej a nawet zebrania partyjne. Dyskutancki ci sami i te same problemki, których mimo ogromnych starań, przyrzeczeń i mobilizacji, nie udaje się jakoś rozwiązać.

Na upartego protokolanci mogliby z góry przedkładać gotowe już sprawozdania z ich zakończenia. Co najwyżej zmieniając akcenty i konfigurację spraw. Czytając te protokoły trudno pojąć jak tym ludziom nie szkoda było czasu na mielenie tych samych słów, na gadaninę, z której, jak się okazuje, niewiele wynikało. Oddajmy głos protokolantom.

31 sierpnia 1980 r. Konferencja Samorządu Robotniczego w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narwa”. Darujmy sobie pierwszy czy też drugi punkt, obowiązkowe wystąpienie dyrektora. Protokół odnotowuje, że Piotr Kośnik, mistrz remontów, poświęcił większość swego wystąpienia sprawom części zamiennych, inżynier Jerzy Nowak mówił o niedostatecznych zapasach węgla i marnotrawstwie oleju, Jerzy Gutowski dyspozytor zmianowy, o kłopotach z wykonaniem planu i jakości produkcji, Robert Werczyński, z-ca kierownika działu socjalnego, tłumaczył dlaczego Zakład nie może pokrywać kosztów wyjazdu na wczasy prywatnymi samochodami, Jan Wesołowski, z-ca dyrektora Zjednoczenia, apeluje o oszczędniejsze gospodarowanie częściami zamiennymi. Z protokołu wynika, że to wszystkie głosy. Nietrud-

no zauważyć, że nie ma wśród nich żadnego głosu robotniczego. A jednak robotnika się widzi. Do niego też skierowany jest apel: „Od ludzi stojących przy maszynach zależy i ilość, i wartość produkcji, od ich pracy zależy oszczędność gospodarowania surowcami i materiałami, sprawność parku maszynowego, ilość reklamacji i wielkość strat na wyrobach niepełnosprawnych oraz jakość i trwałość tkanin [...] dlatego też podstawowym zadaniem każdego pracownika jest oszczędne gospodarowanie surowcami i materiałami pochodzenia krajowego i z importu [...] ogromne znaczenie dla poprawy efektywności gospodarowania ma również dyscyplina pracy”.

Tak sobie wtedy dyskutowano. Tak się dogadywano. A ci, od któ-

rychamią. Nie ma jednomyślności. Załoga nadal szuka przywódców. Ciągłe nie ma jeszcze ogólnozakładowego komitetu strajkowego. Rozgorączkowanie jest tak wielkie, że w końcu i bez niego dochodzi do strajku. W poniedziałek o 19.40 młokrosna na tkalni a na dwie godziny przed północą staje cała „Narwa”. Całkiem spontanicznie. Dopiero nazajutrz o 9.00 powstaje Komitet Strajkowy. Jego kierownictwo obejmuje Henryk Szeligowski — robotnik z dyplomem technika — i cieplowni, zaskoczony wyborem. „Nie popierałem specjalnie — mówi po czasie — idei zatrzymania produkcji. To miała być ostateczność. Dyrekcja nie kryła nieufności wobec nas. Najpierw — mówiono — powrót do pracy, a później rozmowy. U-

bunt nie

rych tak wiele miało zależeć, milczeli. Ale zawsze trzeba oddać sprawiedliwość tym, którzy w tę ogólną zgodność i wzajemne słów krzepienie, próbowali wprowadzić rozterkę, elementy krytyki: „Niepokojącym zjawiskiem — zauważył ktoś na wspomnianej wyżej KSR — jest fakt, że niektóre problemy poruszane są już od kilku lat i nie mogą doczekać się ostatecznego rozwiązania. Najczęściej i stale powtarzającymi się są: — przecieki dachów hal produkcyjnych, niedoskonałości transportu wewnętrznego, niewłaściwe funkcjonowanie komunikacji miejskiej, zaopatrzenie w napoje

ważyliśmy, że mieli oni dostatecznie dużo czasu na dogadanie się z załogą. Nie wykorzystano tej szansy. Przy istniejącym wzburzeniu załogi. Skoro strajk stał się faktem — mieliśmy moralne prawo do prowadzenia rozmów właśnie z takiej pozycji. Nasze żądania dotyczyły przede wszystkim demokratycznego wyboru nowej rady zakładowej. Chcieliśmy mieć w niej naprawdę oddanych nam ludzi. Nie myśleliśmy o wolnych związkach, tych „gdańskich”. Zresztą nikt z nas nie wiedział na czym one właściwie polegają. Pragnęliśmy po prostu porządku działających związków. Inne postu-



chłodzące. Konieczne jest także pominięcie (mówi się o tym od pięciu lat) dla zorganizowania działalności pracy chronionej”.

LEKCJA 1: Gdy ludzie milczą nie znaczy, że nie mają nic do powiedzenia. Są chwile, w których niczego nie trzeba tak słuchać jak ciszy. A na KSR w „Narwi” robotnicy zajmujący z reguły ostatnie miejsca na sali uparcie milczeli, z oddalenia obserwując odbywające się w ich imieniu misteria.

Sroda, 3 września, godzina 11.00. Termin przedłożenia robotniczych postulatów. Od rana wielkie podniecenie w Zakładzie. Najgorzej na tkalni. Tyle niezadowolenia. Nie bardzo wiadomo jak je w sposób uporządkowany wyrazić i przedstawić. Nie ma jeszcze przywódców, którym załoga mogłaby zaufać. Daje też o sobie znać brak umiejętności organizacyjnych. Wciąż żywił. Co rusz ktoś próbuje zorganizować grupę przywódców. W Zakładzie powstaje aż szesnastu czy siedemnastu takich grup, ale ich uczestnicy nie mogą uporać się nadal z zebraniem i uszeregowaniem postulatów. Już czują siłę, której nie potrafiła racjonalnie spożytkować.

Poniedziałek, 8 września. Ogólne podniecenie i coraz więcej zamieszania. Pierwsze przerwy w pracy. Jedni maszyny zatrzymują i inni je u-

laty dotyczyły plac, spraw socjalnych, redukcji administracji. Żądaliśmy, by do produkcji powrócili fachowcy niepotrzebnie grzejący stółki w administracji. Postulowaliśmy także przekazanie innym zakładom cennych maszyn z importu zalegających nasze magazyny. Domagaliśmy się korekty przydziału mieszkań. Dzielenia ich sprawiedliwie, żeby nie było tak jak dotychczas. Otrzymywali je często właściciele domków jednorodzinnych.

Tekst porozumienia przedstawiliśmy załozie. I wygwizdano nas. Robotnicy uznali, że za bardzo ustąpił dyrekcji. W porozumieniu nie było obietnicy spełnienia żądania podwyżki o 1000 zł na każdego zatrudnionego. Żądanie to uznaliśmy za zbyt wygórowane i wcale nie takie sprawiedliwe. Nie udało się jednak przekonać załogi. Wszyscy się nas wyparli.

LEKCJA 2: Porażka Komitetu Szeligowskiego nie jest tylko jego osobistą przegraną. Narwiańscy robotnicy latami odsuwani od współdziałania i współdecydowania, w czas ostrej próby, boleśnie odczuli swoją nieporadność w decydowaniu o własnych sprawach. Nie ich winą jest, że obowiązujący do niedawna wzorzec powszechnej jednomyślności nie sprzyjał wyłonieniu się rzeczywistych robotniczych autorytetów ani nauce demokracji. Teraz ta nauka przed nimi.



CIĄG DALSZY NA STR. 5

myślności
wódców.
ego. Roz-
nie, że
chodzi o
19.40 mi-
dwie go-
cała „Na-
ie. Dopus-
je Komie-
ownictwo
ski — ro-
— i
wyborem.
— mówi
ania pro-
teczności
ści w ob-
— pow-
nowy. U.

Wygizdano przywódców. Nieza-
dowolenie zostało. Kto ma je teraz
zabrać, wyrazić w imieniu ogółu? W
poniedziałek, godz. 22.00, przychodzi
druga robotnicza zmiana. Nie ma już
pracy. Jest tylko rozgorączkowanie,
radzenie po kątach. I coraz więcej
nerwów. Pada hasło strajku okupa-
cyjnego. Wykonuje się jedynie roboty
konieczne dla późniejszego funkcyj-
nowania zakładu. Wyładuje się
nadjeżdżające samochody z przędzą.
Z bielnika — aby nie dopuścić do
zniszczenia tkanin — wybiera się
kolejne metry. W pełnej gotowości
utrzymuje się kotły. Wtorek, godz.
6.00, samorzutnie powstała nocą mi-
licja strajkowa (tak ją niektórzy na-
zywają) nie wypuszcza z zakładu ro-

Odtworzmy pokrótce, w oparciu o
relacje uczestników pierwszych roz-
mów, przebieg wydarzeń, które do-
prowadziły do takiego rozwiązania.
Najbardziej krytycznie dotychczasową
Radę potraktował Komitet Sze-
ligowskiego. Za najważniejszy po-
stulat uznawał on bowiem jej roz-
wiązanie, ustąpienie przewodniczą-
cej i przeprowadzenie nowych wy-
borów. Podczas dyskusji nad związk-
kami zawodowymi Szeligowski wy-
chodzi na chwilę z sali obrad do
toalety. W tym czasie upada wniosek
w sprawie reformy związkowej.
Szeligowski się załamuje. Najważ-
niejsza, jego zdaniem, sprawa zostaje
zaprzeczona. W tej próbie sił
przegrywa z racjami związkowców.
Komentarz do tego ma bardzo krót-
ki: „Przegraliśmy, bo w Komitecie

raz, że powinniśmy zorganizować się
na nowo w związkach branżowych,
ale z innymi uprawnieniami i moż-
liwościami działania niż uprzednio.
Bałam się, że popadniemy w niebez-
pieczną skrajność. Zdarzało się wszak
w licznych zakładach, iż wielu au-
tentycznych działaczy związkowych
obwiniano za rzeczy, na które nie
mieli wpływu. Podczas strajku nie
wpuszczono nawet ich na teren zak-
ładu. Stali się „chłopcami do bicia”.

Sroda, 24 września.

Głos z sali: „Dziś — słyszę na o-
bywającym się partyjnym zebraniu
POP na wykończalni — podobnie
jak dawniej, spotykamy się w swo-
im gronie. Nie ma nikogo z robot-
ników”.

Rzeczywiście, to zebranie przypo-

kontakty kontaktów

5
KONTAKTY
19 X 80

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

kańców nie tylko z redakcją, ale za
jej pośrednictwem z władzami ad-
ministracyjnymi.

Piszcie o sporcie, ale nie tylko o
sprawach zakulisowych (brawo!), a
o wynikach naszych sportowców, o
zawodach sportowych, tabelach,
przyczynach... Nie znajdziemy takich
informacji w „Gazecie Współczes-
nej”, ani w „Przeglądzie Sporto-
wym”. Wy jesteście od tego.

Wróćcie z piekiel do Łomży, do
Kolna, Grajewa, Zambrowa itp. Z
diabłami był już przesył w śred-
niowieczu.

Pragnąłbym to wszystko przeczy-
tać w miejscu dotychczas zarezer-
wowanym na listy pochwalne. Wy-
baczyłbym też skreślenie kilku słów
ale nie zdań. Nie wybaczyłbym tyl-
ko złośliwego komentarza ze strony
redakcji. Byłoby to udokumentowa-
niem porażki redakcji, przyznaniem
się, że pismo jest nie trafione. Do-
wód — gromady „Kontaktów” w
kioskach jeszcze w każdą środę.

Śmieszny jednak optymista ze
mnie. List nie ma charakteru zło-
śliwego, a jedynie przemawia w
nim moje rozgoryczenie, że nie ma
Łomża pisma, które by się jej przy-
dało, a ja jako łomżyński, nie wiem
jak potoczą się losy miasta.

I jeszcze jedno — może spotka-
nie z czytelnikami, tylko nie sztucz-
ne, bez władz, bez herbatki, a z rze-
czowym wysłuchaniem ludzi i tego
czego się po piśmie spodziewają. A
potem wywiązać się.

ŁOMŻYNIAK
(nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

☆

Nawiązując do artykułu pt. „Wo-
da kłopotów nie zabierze” zamiesz-
czanego w numerze 9 tygodnika
„Kontakty” stwierdzamy, że zawar-
te tam uwagi o braku sprzętu żniw-
nego nie pokrywają się z rzeczywisto-
ścią. W miesiacu czerwcu Zarząd
Gminnej Spółdzielni z polecenia
Gminnego Komitetu Kontroli Spo-
łecznej w Trzciannem i Zakładu
Zaopatrzenia Rolnictwa w Łomży
dokonał dokładnej analizy zapasów
i uzupełnił występujące braki. Wy-
konanie powyższych zaleceń stwier-
dziła także kontrola przeprowadzo-
na przez naszego pracownika.
Stwierdzono jedynie brak pełnego
asortymentu ośledek produkowanych
z surowców importowanych. Nie zo-
stało to jednak zawnione przez GS
w Trzciannem, a wszystkie sklepy
dysponowały wystarczającymi ilo-
ściami ośledek wykonanych z surow-
ców krajowych.

mgr TEODOR BACZEWSKI
wiceprezes Zarządu WZSR
ds. Zaopatrzenia Rolnictwa

Podczas zbierania materiałów do
reportażu o żniwach mieszkańcy Ko-
łodzieja, Gielczyna i Laskowca
skarżyli się na niewłaściwe zaopa-
trzenie miejscowych sklepów w
sierpy, kosy i osetki. Wielu z nich
musiało np. zaopatrywać się w nie
w Wiźnie. Przywoziły też stamtąd
świeży chleb. Czyżby podstawowy
sprzęt żniwny, który znajdował się
jakoby w ich sklepach, pozostawili
na wykopki? Wiceprezes Zarządu
ds. Zaopatrzenia Rolnictwa powołu-
je się na protokół. Nie pierwszy to
raz się zdarza, że na papierze stol
co innego niż w rzeczywistości.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

☆

W 1979 roku nabyliśmy budynek
mieszkalny, w którym mieści się
„Dom Książki”. Od tego czasu wie-
lorotnie zwracaliśmy się do zarzą-
du księgarni w Białymstoku i do
władz miejskich Szczuczyna o prze-
niesienie sklepu w inne miejsce,
gdyż budynek wymaga natychmiast-
owego remontu. Poza tym cała na-
sza liczna rodzina gnieździ się w
jednym pokoju z kuchnią. Bezsku-
tecznie. Ostatnio władze miejskie o-
świadczyły, że księgarnia opuści ten
lokal, gdy zostanie wybudowany spe-
cjalny pawilon, co może potrwać na-
wet 5 lat.

Nie wiem, co mamy zrobić. Czy
mieszkać w namiocie, czy może
wstawić łóżko polowe do pomiesz-
czenia księgarni.

ALDONA ROWIŃSKA
Szczuczyn

przyszedł z zewnątrz

botników nocnej zmiany. Na halach
tłoczno, bo doszła poranna zmiana.
Wiele kobiet ze starej zmiany chce
iść do domu. Milicja strajkowa na-
dal jednak nikogo nie wypuszcza.
Nie wszystkim to się podoba. Szczeg-
ólnie matkom. Dochodzi jednak do
kompromisu i część załogi opuszcza
fabrykę. Nadal trwa naradzanie się
i zbieranie postulatów. Tak aż do
rozpoczęcia popołudniowej zmiany,
która spotka się z częścią nocnej i
porannej. Dużo niezdecydowania. O
godz. 16.00 na wykończalni ruszają
niektóre maszyny. U wejścia czuwa-
ją pracownicy nadzoru techniczne-
go. Nie wpuszczają osób usiłujących

Strajkowym było zbyt mało do-
świadczonych politycznie robotni-
ków. Nie połąpali się o co naprawdę
idzie gra. Przecież nie tylko o płac-
owo-porządkowe sprawy a rzeczy-
wiste przedstawicielstwo robotnicze
w Zakładzie. Bez nowej Rady nie
widziałem szans na porządne dopro-
wadzenie do końca tego cośmy za-
czeli”.

Ten postulat upada i nikt go już
później nie podejmie. Gdzie tkwi
przyczyna przegranej Szeligowskie-
go? Tego pytania już mu nie zadaje.
Obaj chyba zgodzilibyśmy się, że
doświadczenie i taktyka działaczy
Rady Zakładowej przeważały szale.

mina bardziej posiedzenie dyrekcji
lub zespołu technicznego niż Od-
działowej Organizacji Partyjnej. Po
jakimś czasie dołącza jedna robotni-
ca, która do końca jednak nie zabie-
ra głosu.

Ryszard Sobierajski (główny dy-
spozytor): Przesteż, jakie miały u
nas miejsce, spowodowały duże
szkody w produkcji. W większości
pracownicy odmówili odrobienia
strat. Taka mentalność.

Tadeusz Sawicki (dyrektor naczel-
ny): Już podczas strajku nie było
dobrej organizacji, tylko mnóstwo
krzyku i bieganiny. Jak zakład sta-
nął, personel techniczny był bierny.
Czekał. Na co? A można tym lu-
dziom było podać rękę. Na pytanie
czego żądacie odpowiedzieli: „A no
zastanawiamy się nad tym”. I tak
zastanawiano się aż w stratach do-
szliśmy do 14 mln zł. Równocześnie
żądano podwyżki płac. Najgorsze te-
raz by było, gdyby załoga doszła do
przekonania o możliwości bezkarne-
go zatrzymywania produkcji. Dlate-
go powinniśmy zrobić wszystko, aby
doszło do dodatkowej pracy i odrab-
iania zaległości.

Andrzej Kozioł (mistrz apretury):
Towarzysze, uważam, że mentalności
to my ludziom tak natychmiast nie
zmienimy i nie wiem czy jest tego
potrzeba. Mieliśmy już u nas sytua-
cję, kiedy załoga udawała swoją
dojrzałość. Braki w produkcji to nie
tylko wina strajku w naszym Zakła-
dzie. Moja zmiana odraduje co
trzeba, za to mogę ręczyć.

Jan Walecki (I sekretarz KZ
PZPR): Do tej pory nie było żadnej
deklaracji załogi wobec zakładu i
produkcji. Jest tylko mnóstwo ża-
dań. A dziś na to robocze zebranie
nie przyszło bardzo wielu towarzy-
szy. To o czymś świadczy.

Bronisław Bednarczyk (mistrz
bielnika): Mówimy o pewnych rze-
czach przed zebraniem, a później na
zebraniu nikt słowem o tym nie po-
wie, bo tak wcześniej uzgodniono.

Tadeusz Sawicki: Wróćmy raz
jeszcze do strajku. U nas nie znalazł
się nikt z odpowiednio silnym auto-
rytetem, człowiekiem potrafiącym pokie-
rować i doprowadzić do należytego
rozwiązania całej sytuacji. Gdzie in-
dziej komitety strajkowe pilnują do
dziś realizacji wynegocjowanych
postulatów. A co u nas? Jeden komi-
tet się rozwiązał. Drugi poszedł w
jego ślady. Co to znaczy? Jeżeli nie
ma wśród samych robotników kogoś,
kto potrafi naleyście pokierować
ich interesami, to my musimy prze-
jąć na siebie większe obowiązki i
zrobić to, czego oni nie zrobili. A
podstawowym naszym zadaniem jest
stworzenie ludziom lepszych warun-
ków pracy i wyższych zarobków.

LEKCJA 4: Ani jednego robotni-
czego głosu na zebraniu robotniczej
partii. Było o nich, ale bez nich. Po
raz pierwszy pojawił się cień niepo-
koju, jakby dozór fabryczny zaczy-
nał rozumieć, że racje nieobecnych
są najważniejsze. A ta nieobecność
świadczy o ich dystansie. Wciąż wa-
ża doświadczenia przeszłości, kiedy
na zebraniach (także i partyjnych)
robotnik był tylko atrapa.

☆

Poniedziałek, 6 października, Jan
Walecki (I sekretarz KZ PZPR) in-
formuje: „Zaległości zostały odrobio-
ne. Pracowaliśmy przez parę dni o
kilka godzin dłużej. Jednak nie
wszyscy robotnicy wzięli w tym ud-
ział”... ale wszyscy skorzystają z
wynegocjowanych porozumień.

LECH GIZELBACH



ponownie zatrzymać produkcję. W
godzinę później załogi tkalni i wy-
kończalni zwracają się do Waldema-
ra Markowskiego, byłego przewod-
niczącego Rady Zakładowej — obec-
nie jej wiceprzewodniczącego, o or-
ganizowanie nowego komitetu straj-
kowego. Darzą go zaufaniem — jak
się okazuje — załoga i kierownictwo.
Markowski po namowach i namyśle
zgadza się objąć kierownictwo nad
tzw. Zespołem Koordynacyjnym Po-
stulatów Robotniczych.

Przed rozmowami dyrekcja stawia
Zespołowi Koordynacyjnemu taki
sam warunek jak Komitetowi Straj-
kowemu Szeligowskiego: najpierw
pełna praca, później pertraktacje.
Teraz ten argument wzmacnia infor-
macja, że straty spowodowane trwa-
jącą przerwą idą już w miliony. Po
pięciu godzinach wszystkie maszyny
pracują. Zespół Markowskiego udo-
wadnia tym, że jest rzeczywistą re-
prezentacją załogi. Rozpoczynają się
negocjacje. Punktem wyjścia jest
wcześniejsze porozumienie Komitetu
Strajkowego.

W atmosferze powracającego spo-
koju, w następnych dniach, kierow-
nictwo „Narwi” wraz z Zespołem
Koordynacyjnym rozpatrują robotni-
czne postulaty. Uzgadnia się termi-
ny realizacji i osoby odpowiedzialne.

Po podpisaniu porozumienia —
znalazło się w nim także robotnicze
przyrzeczenie, że załoga odrobi stra-
ty wynikłe z postoju Zakładu —
Markowski uznaje, że Zespół spełnił
swoje zadanie i rozwiązuje go. Pil-
nowaniem realizacji postulatów ma
się zająć Rada Zakładowa. Tak —
ta w niezmiennym składzie, którą
wcześniej jakże ostro krytykowali.
Czyżby kolejny kredyt zaufania?
Markowski rozwiązał nadzwyczajny
zespół nobilitując istniejące zwią-
kowe przedstawicielstwo, w którym
sam od lat uczestniczył.



WIESŁAW KOŁOWSKI

jakoś się kręci

Stoją w równych rzędach: kolorowe — żółte, niebieskie — pudła autobusów. Chciałoby się wsiąść i jechać.

— Ten przeznaczony jest na zbiornik paliwa.

— Sanosy przejechały po siedemset tysięcy kilometrów. Instrukcja zaleca po trzydziestu pięć tysiącach wymienić silnik i mosty. Jeden ma uszkodzoną skrzynię biegów, drugi niesprawny silnik.

Temu sanosowi urwał się zbiornik paliwa. W sumie piętnaście autobusów stoi z braku silników; dwa jęczą mają uszkodzone tylne mosty.

Mistrz Andrzej Michta z bazy naprawczej oddziału PKS w Łomży zna na pamięć każdy autobus. Chodzi wokół nich jak troskliwy lekarz przy pacjentach. Rzadko zalał mu ręce nad przypadkiem beznadziejnym.

— Do sanosa przerobimy silnik leylanda. Oryginalnego nie dostaniemy. Przebudujemy skrzynię biegów. Najważniejsze, żeby wóz jeździł.

Jak dobry lekarz — myśli też o profilaktyce. Co zrobić, aby do stacji napraw autobusy trafiały jak najrzadziej? Mistrz Michta mówił o tym na sesji KSR w łomżyńskim oddziale PKS.

— Mamy autosany stojące z uszkodzonymi silnikami, po ośmiu tysiącach kilometrów. Trudno znaleźć kierowcę, który przepracował na jednym pojeździe dłuższy okres czasu. Jak można w takiej sytuacji zapewnić pojazdowi właściwą opiekę? Ciągłe są jeszcze nieracjonalne przewozy. Kierowca czterestotonowego jęczą z przyczepą pojechał do Warszawy z ładunkiem półtonowym, wrócił z trzystukilogramowym. Mamy opracowany komputerowy system „Transfer”. Cóż z tego. W poprzednim tygodniu do „Ursusa” pojechało osiem czterestotonowych zestawów transportowych; mieli odbierać ciągniki. Przywieźli tylko dwa. Na inne ktoś zapomniał wypisać papiery. Brakuje mi też ludzi. Dzisiaj do naprawy zapisane miałem trzydzieści cztery autobusy. Na jednej zmianie pracuje ośmiu monterów, bo przecież często trzeba wyjmować ponad stukilogramowy silnik. Młodemu, który przychodzi do nas po szkole, nie wytłumaczy się, że nie ma opony czy dętki, a klucze do odkręcania śrub sam musi dorobić. Uczyli go, że wszystko otrzyma do ręki.

Z KSR-u w oddziale łomżyńskiego PKS-u: — W ostatnim roku przyjeżdżaliśmy do pomocy dwudziestu czterech ludzi. Zwolniło się sto jeden. W lipcu zabrakło trzydziestu czterech pracowników, zwłaszcza monterów do obsługi technicznej.

Baza towarowo-osobowa PKS-u w Łomży to cały kompleks budynków, baraków i wiat. Zaczyna się w miarę solidnym budynkiem administracyjnym, do niego przylega barak ze świetlicą. Później jest lakiernia i zakład wulkanizacji. Prostopadle do nich stoi hala napraw zakończona jednym z warsztatów pomocniczych. Całość zamykają stare autobusy z odjętymi kołami. Pomieszczono w nich maga-

zyny i pakamery. Dominujący kolor — czerni. Czarne są podłogi, ściany, sprzęty, narzędzia. Czasem i sami ludzie. Wszzechwładny smar okleja dokładnie wszystko, nawet ziemię.

W lakierni pracuje się wygodnie tylko wtedy, gdy na dworze jest dobra pogoda. W ciasnym pomieszczeniu wystarcza zaledwie miejsca na magazyn farb. Rozstawione pojemniki, zaduch. Urządzenie wentylacyjne zarzucone stosem papieru. Nikt nie pamięta kiedy było czyste. Przed budynkiem wulkanizacji skład opon ze zdartymi bieżnikami i poszarpane opony z wnętrzami wypchniętymi na wierzch.

— Te nie nadają się do wulkanizacji — mówi Jerzy Hil, wulkanizator — za mocno zniszczone. — Ale jak zdjąć oponę z koła, jeżeli nie ma nowych? Kiedyś kierowca otrzymywał premię, jeśli wyjeżdżał kilometry, a opon nie zniszczył. Dzisiaj jeździ dopóki się da. Ale największym problemem są dętki. Kleję każdą kilkanaście razy. Wczoraj kierowca, jadąc do Łaniet, trzy razy musiał zmienić koło. Nie tylko kleję dętki; robię chociażby uszczelki. Przyrządziłem matrycę i produkuję jak w fabryce.

— Połowa autobusów nie ma kół zapasowych — mówi kontroler techniczny, Henryk Kozikowski. — Jeżeli koło złapie gumę, kierowca wzywa pogotowie techniczne. Obsługa wyjmuje koło z innego, stojącego na placu autobusu i wiezie na trasę.

W kącie ciemnej nory zadumany narzędziowy. — Kluczy brakuje — mówi — trzynastek, trzeba dorabiać. Gorzej jednak jest wtedy, gdy w kotłowni zaczyna palić: trzeba zamykać narzędziownię i uciekać, tyle czasu idzie.

Warsztat. Tokarz Kazimierz Zareba tłumaczy: — Każdą część dorabiam: sworznie, tuleje, śruby. Fabrycznie nowe tuleje mają ostre krawędzie, trzeba je oszlifować. Przed chwilą dopasowałem śruby do koła zamachowego; urwały się. Brakuje noży do tokarki. Przysłali takie po siedemset złotych, ale wkładki mają słabe, sam muszę je produkować.

W pomieszczeniu mistrzów i brygadzystów stoi biurko bez dwóch nóg, oparte o parapet okna. Rozklekotane krzesła. Wszystko pomazane smarem.

W hali napraw jest siedem stanowisk naprawczych, dla stu dwudziestu autobusów. Tu remontuje się również ciężarówki. Na jedno stanowisko przypada trzydzieści sześć autobusów. Norma przewidy-

je dwadzieścia pięć. Nie ma zamykanego kanału, więc Tadeusz Jakowski położył się pod wozem. Wymontowuje silnik.

Kierowca: — Kolega wczoraj dojechał do Warszawy i musiał zmieniać koło. Dzisiaj ja przejechałem tam i z powrotem, i znowu wyjechałem.

— Musi gdzieś szcypać dętkę — zastanawiają się mechanicy.

— Za brak światła zaraz za dupę biorą, a że części nie ma, to tego się nie widzi — narzeka zdenerwowany kierowca.

— Ja powiem, jak jest z tymi naprawami — ofiaruje się Jerzy Petkowski. — Stoi jakiś autobus „na silnik”, a do innego potrzebna jest pompa. Bierze się więc pompę i montuje do drugiego. W ten sposób pierwszy nie ma już dwóch części. Przychodzą autobusy po kapitalnych remontach z Białegostoku i od razu po czterech dniach stoją na kanale, żeby można było nimi jeździć. A z częściami zamiennymi jest tragicznie. Przyszło np. dziesięć cylindrów wspomagania, z których tylko trzy nadawały się do użytku.

Pracownik kontroli technicznej: — Kiedyś kontrolę autobusu zaczynało się od firanek. Jeśli były brudne, wóz nie mógł ruszyć na trasę. Gdybyśmy dzisiaj tak kontrolowali, osiemdziesiąt procent wozów nie ruszyłoby z miejsca. Były przypadki, że kontroler zawieszal dziesięć autobusów. Przychodził dyrektor, zwalniał autobusy, a zawieszal kontrolera. Zrezygnowaliśmy z takiej praktyki. Dajemy pieczęć, jeśli najważniejsze urządzenia są sprawne: układ hamulcowy, napędowy i kierowniczy. Czasem milicja odbiera naszym kierowcom dowody rejestracyjne. My wystawiamy wtedy skierowanie do kontroli technicznej, więc oni dowody zwracają. Nie zawsze jesteśmy w stanie przejechać dokładnie wóz. Niejednokrotnie autobus po trzydziestu dniach jest w drodze. Zdarza się, że nie mamy gdzie dokonać przeglądu. Nasz kanał kontrolny jest często zajęty. W tym roku nie mieliśmy, odpukać, poważniejszych wypadków; jakoś się to kręci.

Sala obrad KSR: — Panie dyrektorze, kiedy przeniesiemy się do nowej hali?

— Termin oddania hali przewidziany na trzydzieste wrzesnia okazał się nieaktualny. W tej sytuacji ustaliliśmy z budowlanymi, że do drugiego listopada tego roku wykończą przynajmniej część. Ostateczne zakończenie budowy: czwarty kwartał 1981 roku.

Pierwsza wizyta w bazie napraw ciężarowych PKS (w budowie). Z daleka widoczne białe konstrukcje, wielkie okna, przestronne hale. Wejście do sali żółte od tablic ze sloganami ostrzegawczymi. Czysta. Jednak pracują.

— Za dwa dni skończymy ustawiać konstrukcję budynku socjalnego.

— Nie ma ludzi do pracy; teraz na budowie pracuje dziesięć osób.

— Z „kicia” poprzychodzili to wiadomo jak pracują.

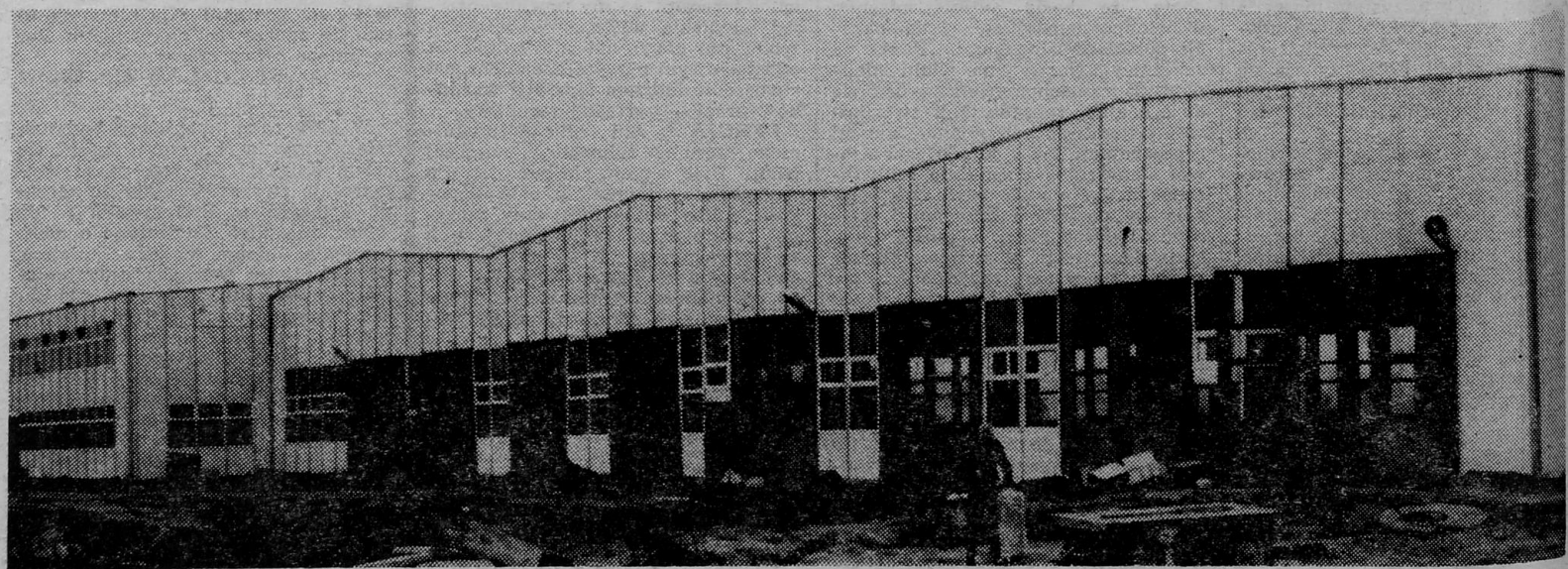
Chłopcy z Białostockiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych układają przewody wentylacyjne. — Po co nas tu ściągają, przecież mogli to wykonać ci, którzy montowali kanalizację.

Pijany pracownik ma pretensje za złe wycenioną pracę. Kierownika budowy nie zastaje; jest w centralki w Lublinie. Podczas drugiej wizyty kierownik budowy znów ma problemy z wyceną robót i wysokością zapłaty. Jest zdenerwowany. Dłaczego dziennikarze, bez jego wiedzy chodzą po budowie? Stan zaawansowania prac ocenia następująco: — Budowa nie ma w tej chwili opóźnień. Początkowo z pracownikami podjęliśmy zobowiązanie, że skończymy robotę 22 lipca tego roku.

Ala zaświeciło słońce. Chłopcy rozeszli się. Teraz spotykam ich przy kioskach z piwem. Budowa hali zaawansowana jest w 80 procentach. Ostateczny termin zakończenia: 31 sierpnia 1981 r. Będzie tutaj piętnaście stanowisk roboczych; luz, lepsze ciągi komunikacyjne, wentylacja, oświetlenie. Największa nasza bolączka to brak ludzi do pracy; jest dziesięciu, a powinno być czterdziestu pięciu. Łomżyńskiemu PKS-owi chyba nie zależy na szybkim zakończeniu budowy. Przydzielony nam żuk przewozi pracowników na budowę z kilkugodzinnym opóźnieniem. Złożyłem zamówienie na wywrotkę; przyjechała po trzech tygodniach. Jak moja firma, Lubelskie Zakłady Napraw Samochodowych, zakończy budowy w naszym regionie, rzuci tutaj wszystkie swoje siły.

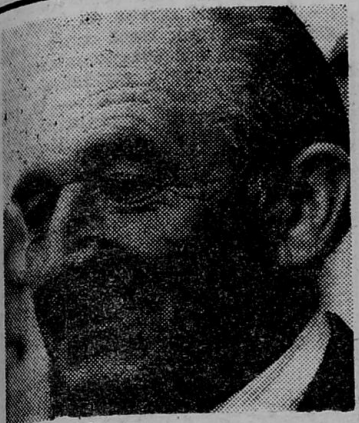
Jeśli lubelskim wykonawcom rzeczywiście starczy chęci, aby w terminie zakończyć budowę, to łomżyński PKS będzie mógł odetchnąć. Szkoda tylko, że baza nie wystarczy dla wszystkich. Ci, co pozostaną w starej będą się czuli pokrzywdzeni.

Fot. Gabor Lőrinczy



interwencja





formalnie mam wóz

STANISŁAW ZALEWSKI, od trzydziestu lat kierowca autobusowy w oddziale PKS-u w Łomży: — Wiemy wszyscy, że wiele kursów się odwołuje, autobusy się spóźniają, panuje w nich tłok. W takich przypadkach tłumaczenie jest następujące: brak taboru, części zamiennych, ogumienia. Nie zwraca się natomiast uwagi na inne, może mniej widoczne, ale istotne przyczyny kłopotów. Formalnie każdy kierowca dysponuje zapisanym na swoje nazwisko wozem; powinien tylko nim jeździć, o niego dbać. W przypadku zepsucia się au-

punkt widzenia

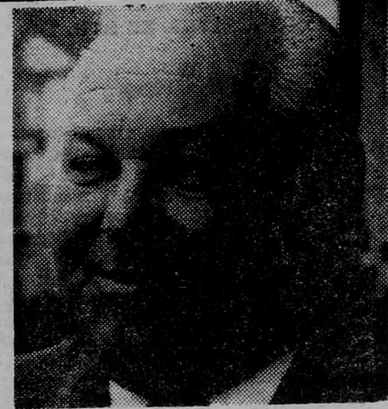
kursant za kółkiem

tobusu zasada ta jest łamana: kierowca jedzie wówczas pierwszym z brzegu sprawnym wozem. Dobrze, jeśli po pracy przejrzy pojazd, ewentualnie odda go do naprawy, umyje. Często jednak pozostawia autobus brudny i niesprawny, który w pół godziny trzeba przygotować do drogi. Zarzuty te z zasady można postawić młodemu kierowcom. Siadają za kółkiem, po przyspieszonym kursie, nie potrafią właściwie prowadzić pojazdu, rzadko który po skończonej pracy przejrzy go, zapisze usterki.

Wiele tras jest przeciążonych, ale niektórymi autobusami jeździ tylko po dwóch, trzech pasażerów. Kiedyś panowało przekonanie, że autobus nie może stać, czas pracy kierowcy powinien być wykorzystany. Tworzono więc nowe linie, dodatkowe kursy. Zużywało się tabor i paliwo. Wiele z tych kursów zlikwidowano, ale sporo zostało, chociażby szkolne w czasie wakacji.

Pasażerów przybywa, a zmniejsza się pojemność autobusów. Stary jelec z przyczepą zabierał osiemdziesiąt podróżnych, autosan — niewiele ponad czterdziestu. Tego się nie zmienia. Ale myślę, że jest wiele spraw, które bez powoływania się na trudności obiektywne możemy lepiej rozwiązać.

JERZY BRODA, od dwudziestu lat dyrektor oddziału PKS w Łomży: — Z porównania dwóch ostatnich lat wynika, że regularność kursowania autobusów radykalnie się poprawiła: w poprzednim roku trzydzieści procent autobusów się spóźniało, w bieżącym tylko dziesięć. Ta poprawa została osiągnięta przy mniejszej ilości sprawnych autobusów. Średnio, dziennie osiemnaście autobusów jest unieruchomionych z braku części zamiennych. A byłoby jeszcze więcej, gdyby nie sprawna obsługa techniczna, pracująca w bardzo trudnych warunkach. Mamy jednak zakaz modernizowania zaplecza technicznego w związku z planami budowy w tym miejscu dworca PKS i PKP. Za mało jest też kierowców. Ratujemy się czteromiesięcznymi kursami przyspieszonymi, ale kończący je kierowcy będą właściwie wykonywać swoje zadania dopiero po dwuletniej praktyce. Jedną z przyczyn psucia autobusów jest brak doświadczenia w ich eksploatacji. W każdym mieście organizujemy spotkania kierowców. Zle pracującym, niewłaściwie zachowującym się wobec pasa-



żerów, potrącamy premie; dobrze pracujący dostają pochwały, nagrody. Nie najlepsze są jeszcze warunki pracy. Tak np. kierowcy sami muszą zadbać o swój posiłek. Chodzą czasem do baru „Tramp”. Najczęściej na gorąco jest tylko bigos. Brakuje podstawowego dania: zupy z kładką mięsa.

Od trzech lat zmniejszamy ilość kursów. Kierujemy się tylko kryterium opłacalności tras.

Można by poprawić warunki podróżowania przez „rozciągnięcie” godziny szczytu. Pisaliśmy do różnych instytucji z prośbą o przesunięcie godzin rozpoczynania i kończenia pracy. Otrzymaliśmy kilka negatywnych odpowiedzi; inne nie zadaly sobie nawet i takiego trudu.

(wk)

latanie z szybą po szosie

Nie lubimy zaskoczeń, a nieprzyjemnych szczególnie, toteż Państwowy Zakład Ubezpieczeń z roku na rok powiększa swoją klientelę. Skuteczne okazały się perswazyjne agentów instytucji, liczne reklamówki, a już nade wszystko śliczne, migotliwe neony. Te ostatnie zresztą coraz częściej mają charakter imperatywny: „Ubezpiecz się w PZU”. A jak nie, to co? — zapytałby niejeden ciekawy. W większości jednak jesteśmy posłuszni i ubezpieczamy się na rozliczne nieszczęścia, które mogą przydarzyć się nam i bliskim, naszym ruchomościom i nieruchomościom.

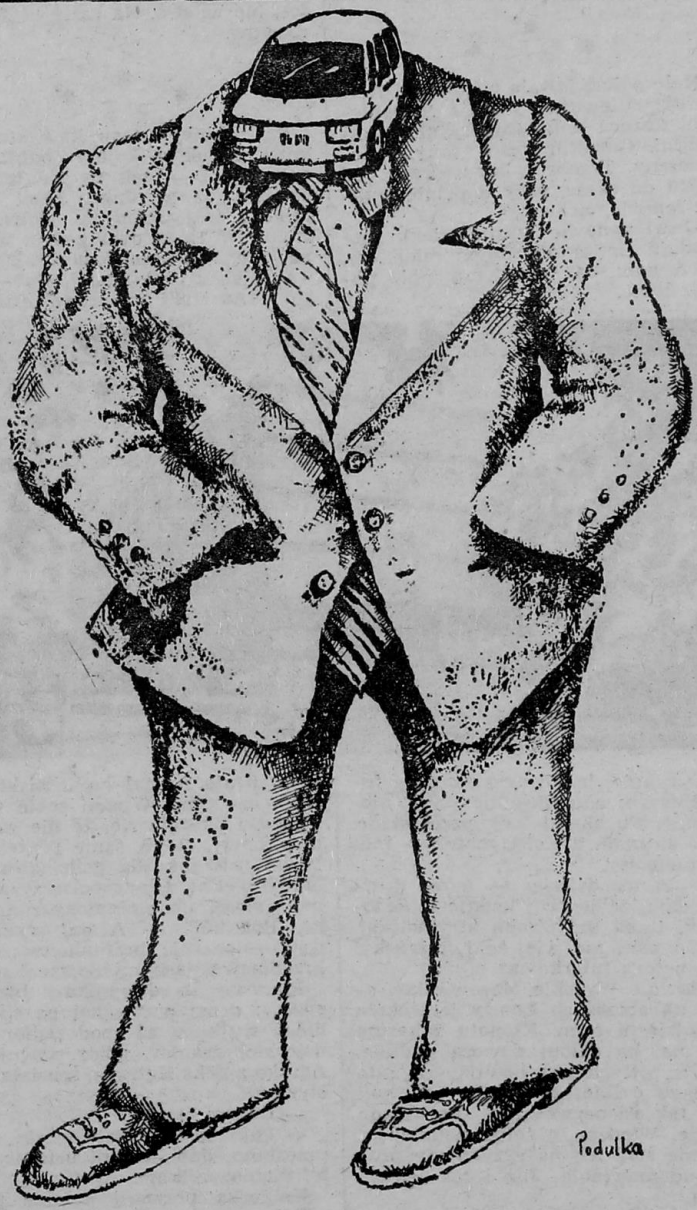
Specjalizacja w ubezpieczeniu poszła już tak daleko, że nie wystarczy ubezpieczyć, dajmy na to, samochodu, bo co wtedy począć np. z szybami, które dla PZU istnieją niezależnie? W typowych dialogach właściciele skarbu na czterech kółkach wychodzą na ludzi bez piętej klepki:

— Myślisz pan, że jak se ubezpieczyłeś karęte, to możesz tłuc, co ci się widzi?
— A co, szyba nie samochód?
— Weź se ją pan i polataj po szosie, to się przekonasz.
— Jeżeli macie takie przepisy, to moglibyście poinformować o tym klientów.

— Każdy by chciał, żeby go informowano, a pomyśleć to już nie można?

Ale to są jedynie odpryski działalności PZU, które dwoi się i troi, aby rozkapryszoną klientelę dogodzić. Najlepiej byłoby ubezpieczyć ją w ogóle od wszelkich wypadków i nieszczęść. Krótko mówiąc, objąć wakaty po aniołach stróżach, których wolne moce prze-robowe w dobre piekła na ziemi są praktycznie żadne. Nowoczesny system organizacji społeczeństwa, wspomagany regularną odpłatnością za usługi, rokował pewne nadzieje na opanowanie metody sprawiedliwego podziału wypadków wśród nieubezpieczonych. Jednakże pogłębiona analiza własnych możliwości personalnych i materialnych (łącznie z rezerwami) oraz wnikliwe studia nad przeciętną wypadkowością w Polsce, w oparciu o naukowe opracowania w zagranicznej literaturze wąskospecjalistycznej, wskazywały jednoznacznie na nierealność wykonania zamierzonych celów w najbliższej perspektywie czasowej.

Trudno już było wyhamować rozbudzone ambicje poznawczo-poszukiwawcze. W sposób nieunikniony doprowadziło to do pewnych wypa-



Rysunek Andrzeja Podulki

zamierzonych. Przystano myśleć jedynie o ludności, a zaczęto o instytucji macierzystej, którą należało chronić, w możliwie największym stopniu przed świadkami na rzecz społeczeństwa (stad np. wypłacanie odszkodowań powypadkowych po urwaniu trzech albo pięciu tysięcy, w zależności od klasy samochodu).

Łomżyńskie PZU nie odstaje od innych w tych nowatorskich poczynaniach. Wyszukałbym nawet śmiałą hipotezę, że jest w ścisłej czołówce. Można by operować obficie rozlicznymi przykładami, bo klęsk żywiołowych rok nam nie poskąpił. PZU przewidziało to wcześniej i postanowiło, że gospodarstwa usytuowane nad rzeką nie będą ubezpieczone przed skutkami powodzi, lecz su-

szy. Położone natomiast na górze, z dala od wody — odwrotnie. Trochę nacięło się przy tym na równinach, gdzie lało równo i w najwyższych kaloszach nie można było wejść na łąkę. Ale i z tego wybrnęło stwierdzeniem, że ta sytuacja nie była efektem powodzi. Dobrze, że nie ukarano rolników za gnojenie siana bez powodu (tzn. bez powodzi). W Ostrołęckiem i Olsztyńskiem natomiast uznano, że odszkodowanie i na równinie się należy, co rozszerdziło nieco łomżyńskich rolników.

Można dojść do bardziej spektakularnych wyników, pozyskując godnego siebie sprzymierzeńca, dajmy na to ZUS. Mechanizm o-wocnej współpracy przesłędzmy, przykładowo, na sprawie Eugeniusza Kotowskiego z Niewiadowa w

gminie Piątница. Z góry uprzedzam, że sprawa jest dla spółki PZU—ZUS niełatwa, ponieważ gmina zatrudnia wytrawną znawczynię praw, która — mimo młodego wieku — opanowała już trudny język biurokracji i potrafi rozmawiać, a raczej pisać do urzędów jak równy z równym. Na razie jednak bezwynikowo.

Wszystko zaczęło się szmat czasu temu. Zona wyżej wspomnianego Eugeniusza Kotowskiego wyszła pewnego dnia z domu i już nie wróciła. Bywa i tak, choć nie tak często. Przez rok nie można było ustalić, co się wydarzyło. Mąż podejrzewał morderstwo, inni — nieumyślne czy umyślne samobójstwo, bo kobieta cierpiała na zaburzenia psychiczne. Szczątki ciała odnaleziono w dość znacznej odległości od zabudowań, ale i to niczego nie wyjaśniło. Można było jedynie sporządzić formalny akt zgonu. Mąż zmarłej zwrócił się do PZU o odszkodowanie. Załatwiono go bardzo uprzejmie odsyłając sprawę do ZUS-u. ZUS grzecznie zwrócił się do Urzędu Gminy o sporządzenie dokładnego opisu przebiegu zajścia przez świadków wypadku oraz o załączenie świadectwa zdrowia. Zmarłej — oczywiście. Gmina wyczerpująco przedstawiła zasadnicze różnice między wypadkiem przy pracy, a wypadkiem lub tzw. zejściem śmiertelnym w ogóle, podkreślając szczególnie niezasadność utożsamiania jakiegokolwiek wypadku na terenie zabudowań z wypadkiem przy pracy. Zwrócono również delikatnie uwagę na niemożność zaspokojenia wymogów ZUS-u, tzn. opisanie wypadku, którego nie było, przez świadków, których nie ma, czy wystawienia aktualnego świadectwa zgonu osobie zmarłej przed rokiem. ZUS jakby coś zrozumiał; odesłał papiery do PZU, które — z kolei — przesłało gminie stosowne pouczenie, iż do jej obowiązków należy świadczenie za wypadki przy pracy. Otrzymało odpowiedź, że ta zdaje sobie sprawę ze swoich obowiązków, ale i czuje się w obowiązku przypomnieć, iż PZU powinno rozpatrzyć pismo ob. Kotowskiego i wydać decyzję, pozytywną lub negatywną. PZU kategorycznie żądało karty wypadku. Notabene — prokuratura nie ustaliła okoliczności śmierci i trudno było choćby wspominać o morderstwie. Ale w PZU wiedzą lepiej. Szkoda tylko, że o swoich przemysleniach i decyzjach nie informują najbardziej zainteresowanego. Może jakiś litościwy urzędnik obawia się, że ob. Kotowski mógłby dostać zawału serca? Jak dotychczas bowiem nie skorzystał on z najnowszej oferty PZU, która — za dodatkową opłatą trzech złotych — gwarantuje wysokie odszkodowanie w przypadku zawałów oraz kilku innych powszechnych chorób.

DANUTA SOBOLEWSKA



Przy stoliku reprezentacyjnym — śniadanie mocne, na rachunek. Jest poledwica, szynka, są szarże. Komenda OHP ze szczebla i z centrali, wraz z osobami towarzyszącymi. Przyjechali na imprezę młodzieżową koło wsi Kozioł. Samochody już trąbią, żeby ich zabrać do lasu. A Lomża? No cóż, dynamiczny rozwój...

Komendant (myślami gdzie indziej) proponuje, żeby jednak stanąć, nie dojadając, bo przecież w stolicy leśnej nad Piszą znów bankiet. Jedną z osób towarzyszących, cywil, bojkotuje bankiet w Kozioł i zostaje. Musi być przerwa w picu, mówi. A zresztą, on tu tylko z doskonałym, półprywatnie, dawno wyszedł z „młodzieżówki”, teraz ubiera ludność stolicy.

— No, a jak tam w „odzieżówce”? — pytam.

Wulkan, balans na drucie, obłęd decydowania. Dziś cię mogą za decyzję pokochać, a jutro zgnoić. A decydować trzeba. Na przykład taka rzecz: co robić z belami bistoru, które zalegają na stanie, a których nikt nie chce. Uszyć buble? Nie. Więc zwołał zebranie pracowników i powiedział: należą wam się fartuchy, weźcie bistor. I dziewczyny rozebrały. Jakoś tam sobie przekalkulowały; niektóre mają rodziny na wsi... Ale kontrola, jakby co, może się przycepić: materiał poszedł nie w towar, a w personel.

— A personel, tak w ogóle?

— Bomba.

Damski gang, lojalny, zaradny, rozsądny; mimo tych zwolnień na dzieci, nie zamienią na mężczyzn. Odzieżowice przeprasza, też już poleci — odwiedzić stare śmieci. Bo stąd. Może spotka kumpli, jeszcze z Liceum Kościuski. Ach, co to było za liceum! Jak dyrektor poloneza wodził! Rozmarza się: — To była szkoła kindersztuby, obyczajów, manier, nie mówiąc o nauce! — Z jego rocznika wszyscy podostawali się na studia. — A co dziwniejsze, do dziś znakomita.

Przy sąsiednim stoliku młody Polak ćwiczy niemieckie z cudzoziemcem o wyglądzie Johna Gielguda z filmu „Dyrygent”. Też Anglik, doktor Harry Hardie, weterynarz. Sprzedaje po świecie specyfiki firmy Ceva. Nam też chciałby coś sprzedać. Choćby lek na zapalenie wymion albo środki na rozród. Doktor Hardie mówi o Polsce, pogodzie, Łomży: „beautiful” — tonem, który należy do biznesu: taki zawód.

Młody Polak, też weterynarz, pracuje w lecznicy zwierząt nie opodal, w Miastkowie. Udało mu się z tą posadą, dobry adres. I mieszkanie w blokach dostał, tak, na osiedlu Południe. Do pracy dojeżdża „maluchem”. Jest w Łomży człowiekiem napływowym, Pomorzak. Ale Akademii Rolniczą skończył w Warszawie, jako prymus — notabene. Po obszerniejsze informacje o sobie odsyła mnie do „Kobiety i Życia”, z lutego 1979. A co do zakupów zagranicznych specyfików, więcej niech powie profesor Zebracki. Jemu nie wolno, bo to „tajne łamane przez poufne”. Do „Poloneza” wpadli na moment dla reprezentacji, bo co do śniadania, to takiego, jak u niego w domu, tutaj się nie zje. Przedstawiciela Cevy gości u siebie, czym chata bogata.

— A Ceva to dobry adres?

Bardzo dobry, warto trzymać kontakt.

I jeszcze jeden stolik w gorące podróż. Mama, tata, podrośnięty synek-blondynek oraz pani mecenas, którą słychać. W Łomży na śniadaniu w przejeździe z Olsztyna do Białegostoku na rozprawę o zaprzeczenie ojcostwa. Pani mecenas jest przy apetycie, młody człowiek również, tylko rodzice nerwowi, kęsy grzęzną im w gardłach, patrzą na zegarek. Pani mecenas uspokaja — zdążymy, zdążymy — i opowiada o targu w Myszyncu, na który też wstąpili po drodze. Ach, co to był za targ! Jajka sprzedają na pary, śmiesznie, co? A tak w ogóle to jest dobre myśli. Sprawa, na którą jadą, wygrana w cuglach. Panią była sprytna, ale niezbyt rozzgarnięta. Bo trudno, żeby sąd dał wiarę, że po sześciomiesięcznej ciąży uro-

dziła donoszoną córkę! I wręcza mi kopię pozwu: „Powód odbywał czynną służbę wojskową w Białymstoku. Przy końcu grudnia 1978 r. otrzymał przepustkę i udał się do domu. Trasa kolejowa wiodła przez Mońki. Pociąg ugrzązł w Mońkach ze względu na niekorzystną sytuację (kłęska żywiołowa). Powód udał się do jadłodajni w oczekiwaniu na pociąg. Pozwana zaczęła go tam, zaprosiła do siebie i poczęstowała wódką. Wypił tak dużo, że nie pamięta, gdy się obudził, był w łóżku z pozwaną”. Itd.

Rodzicom powoda coraz nerwowiej dzwonią widelce o talerzyki, mimo energicznych zapewnień pani mecenas, że jej klient może spać spokojnie. Nie wygłaza, żeby kiedykolwiek miał kłopoty ze spaniem. Uśmiecha się łobuzersko i, ociągając

wi i Biebrzy, jakby tam był. A nie rystycznej (młodzi, ożywieni) przyszłi do kawiarni zwyczajnie — popracować. W biurze ciasnota. Opracowują informator o bagnach biebrzańskich. Unikat w skali światowej (nie informator; bagna). Ekosystem, te rzeczy. Był taki artykuł w „Kulturze”: „Komu potrzebne są bagna?” Otóż właśnie: świat dolarowy szuka takiej scenarii. Uturystycznienie bagien — czy zdaje sobie sprawę Tylko — martwią się — żebyśmy się znów nie obudzili z ręką w nocniku. Bo zawsze ktoś nas wyprzedza. Na przykład — Czesi. Jak oni w swoim czasie opanowali Morze Czarne! Polski turysta błąkał się indywidualnie, a oni już mieli zorganizowane plaże nudystyczne. A teraz taki Karel Kucera okazuje zdumiewającą wiedzę na temat widel Nar-

(— Świat dziś ucieka od ferm — Elgantów — itp.), trąca mnie nagle, jakby sobie coś przypomniał. „Łomża Export Beer”, mówi: — O, pivo jest tu lepsze niż u mnie, w Perth w zachodniej Australii. Naprawdę lepsze! — cieszy się, że znalazł wód do radości.

Bratankowie skwapliwie potakują. Dziennikarz spieszy z wyjaśnieniem, że to dzięki dodatkowi glukozy. Własna łomżyńska receptura i własna glukoza, wyłączone na kraj. Niedługo łomżyński „full” przewyższy na światowych rynkach „Zywiec”. Duża radocha.

Gość przy stoliku za firanką kiwnął na kelnerkę: dwa razy po 50 gram koniaku „Matra” i polo cockta. Wypił, zapalił i zarządził powtórkę.

Wyprostowany, wypomadowany, szpakowaciący, dyrektorski. Złgna się ku mnie ze spiesznym ugrzecznieniem: — Czy to nie pani wczoraj naubliżałem?! Jeśli tak, to najmocniej!

Oddycha z ulgą, że nie. Skłon łowią powraca do pionu. Częstość kawą, koniakiem, piwem. — A może alca-prim, jeśli główka boli? — I naraz z innej beczki: — Chciałem się pani poradzić: napisać do Sadu Najwyższego z prośbą, żeby się to wreszcie skończyło? Niech mnie odpytają na każdą okoliczność i zostawią w spokoju. Nie mogę dłużej!

Świadek oskarżenia. Zznaję w głosnej sprawie, która przed rokiem wstrząsnęła opinią publiczną; na pewne letnie pogodnie popołudnie pękło obwoławanie! zbiornika rencyjnego ścieków z Łomżyńskich Zakładów Ziemniaczanych, topiąc w nieczystościach człowieka.

Nie chce zdradzić swojej funkcji: dość, że był związany z Zakładami. Nie poszedł za kratki, mówi, ponieważ obwarował się papierkami.

— Ostrzegałem dyrektora, ale nie słuchał. „Już jak kto pójdzie siedzieć, panie Stachu — naśladuje bas szefa — to ja, nie pan, więc proszę się nie wchrzaniać”. No i wypowiedział.

— Gdzie leży wina? — pytam. Spogląda na mnie z nagłym podejrzeniem i każe się z sobą napić. — Jak nie, to nie gadam dalej.

Więc znów „Matra”, polo cockta i alca-prim na zagrychę.

Wina leży w charakterze człowieka. Zamyśla się. Są tacy, co nie pójdą kroku dalej, stale wietrzą niebezpieczeństwo; ostrożni, nie zarobią kryminału, ale i nie wyciągną się wysoko, kierownicy z nich do łufy. Są znów przebojowcy, którzy rwą do przodu jak konie wyścigowe, nie oglądając się na boki. Żli, jak się im przeskadza. Ci się wywindują w karierze, ale mogą i spaść na samo dno. Dyrektor Zakładów należał do tych drugich, chojrak. Alternatywa była taka: albo produkować na krawędzi wytrzymałości odstojnika (— I tak rokrocznie za zanieczyszczanie łak płaciło się milionowe kary), albo zaprzestać produkcji i brać się za remonty. I to w całych Zakładach. Bo pieprzyć mogło wszędzie, nie tylko tam, a równie tragicznie skutkiem.

Dzisiaj, gdy zeznawał, obrońca oskarżonego chciał mu przerwać, więc zwrócił się do sądu: „Proszę Wysokiego Sadu, proszę dać mi skończyć”. I sąd się przychylił: „Panie mecenasie, może rzeczywiście na końcu”. Ale nie było żadnego końca, bo oskarżony zaczął tupać powietrze jak ryba, zacharczał, gwałtu—rety, pogotowie, i znów przerwa w rozprawie.

— A wie pani, dlaczego zawatu dostał? Bo chciał przekonać sąd, że to on ma rację.

Wyciął koniak „Matra”, popija polo cockta, przyzywa kelnerkę. — Za dużo, jak na jednego człowieka — żali się. Przed dwoma laty, nagle, zmarła mu żona. Najzdrowsza w świecie kobieta. Troje drobnych dzieci. — Pieprznąła między Delikatami a Orbisem, jak są zamieniać złotówki na forinty.

Słowa „pieprznął”, „pieprznąła” powtarza z emfazą, jakby masochizm zawarty w ich kontekście dawał mu ducha. Coraz głębiej mroczniejący, wyobcowany, nieszcześliwy. Na jego widok gaśnie uśmiech na ustach Amerykanina (słomkowy kapeluszy, kamera, garnitur olśniewająco białych zębów — jak z obrazka), który właśnie wszedł do kawiarni. Zbieracz „hitlerianów”, a-

scenariusz z Polski

EWA BERBERYUSZ

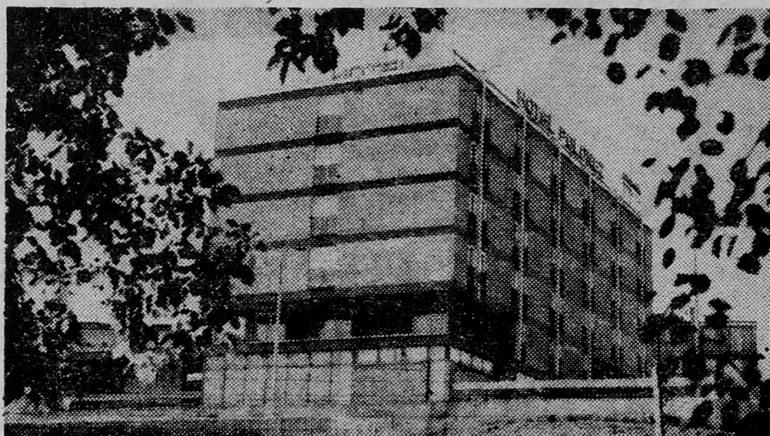
się, wstaje: ładny hotel, nie ma takiego w Olsztynie, choć miasto większe. Szkoda jechać.

Koło południa sala pustoszeje. Kelnerki, poziewując, znikają na zaplecze. Cezura dnia. Odpoczynek kawiarni. Garnitur gości inny, niespieszny. Trzeba tylko wyrzeć od czasu do czasu, żeby dopełnić trunki; leniwie, eicho.

Dwaj panowie w sile wieku rozglądają się za dogodnym miejscem. — A pani, co? — mierzą mnie podejrzliwie.

był, nie był. Przysłał im elaborat na ten temat z konkretną propozycją.

Kiedy będzie gotowy ich informator, nie wiedzą. Na razie — stadium rozmów.



Łomżanie, hodowcy zwierząt futerkowych, a konkretnie: lisy niebieskie. Po chwili lody przełamane.

— Ja mam dziesięć matek — mówi pierwszy.

— Ja też dziesięć — mówi drugi i dodaje, że jeszcze hoduje tchórz-fretki (taka krzyżówka afrykańska).

— To pani nie wie, że Łomżyńskie jest potęgą futerkową?

Głównie Wysokie Mazowieckie, ale i na obrzeżach Łomży jest około czterdziestu ferm. Kłopotu z karmą nie ma, bo chłopci doważą padlinę. Lisów złotych nie hodują, gdyż to zwierzę dzikie; samica w niewoli jest tak zdenerwowana, że zjada młode. Wiedzą, że złote modniejsze, ale nie stać ich na ryzykowny proces udomawiania. Już i tak ledwie zipsia.

— Urząd podatkowy?

Gdzie tam! Urząd podatkowy był dawniej, teraz gniecie Przedsiębiorstwo Surowców Włókienniczych i Skórzanych, nawiasem mówiąc: podcinając gałąź, na której siedzi. Tak podcięli sobie gałąź z nutriami. Płacili hodowcom po 30 złotych za skórę, a za granicę sprzedawali za dolary. No i skończyły się nutrie. Kto stracił?

— A panowie bardzo stracni?

Nie, tego mi nie zdradzą. Z urazą: nie są buchalterami, żeby prowadzić księgowość. A co robili przedtem, tego też nie powiedzą. Proszę napisać: byli pracownicy umysłowi.

tach. Brata poznał na lotnisku od razu, bez tuby. Wpadli sobie w ramiona, i okazało się, że nie zapomniał mowy, słowa same przychodziły do ust, z każdą godziną więcej. Mówił piękna, czystą polszczyzną bez naleciałości, choć ożeniony z Angielką. Robotnik. — A oni wykształceni — ogarnia bratanków swoim krzepiącym, jasnym spojrzaniem.

Pierwszy — dziennikarz lokalnej gazety; drugi przyjechał na spotkanie z wujkiem aż spod samej radzieckiej granicy, gdzie pracuje. — Agrokompleks Kętrzyn, musiła pani słyszeć.

— Dobrze tam?

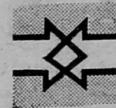
— Póki się ładowało, szło, jak przestano, dno — topi usta w białe pianie; milknie.

Kelnerka przynosi kolejne piwo. Dziennikarz też tylko połowicznie zadolowany z pracy. Każą mu pisać reportaż rodzajowy: o rolniku, co to uciekł do kopalni, bo był u ojca za parobka. Fedrował, fedrował, aż mu się żal zrobiło, i wrócił na rodzinne Kurpie. On by wołał o rolnictwie na serio. Interesuje się rolnictwem, skończył technikum rolnicze. — Zna pani Leona Bójko z „Nowej Wsi”? Mój ideał.

Kelnerka rozlała kolejne piwo. „Australijczyk” spojrzął przez okno, więc pytam, co go uderza po latach. Mówi, że patrzy tylko na ludzi. Przestrzegali go jeszcze przed wyjazdem tacy, co już tu byli: „Ty się nie rozglądaj na boki, tylko ciesz się, że jesteś z rodziną”. No i cieszy się, cieszy... Znów błysk oka w stronę bratanków i odejście w pogodnie zamyślenie. Gdy wróci się z młodymi w dyskusję o rolnictwie

Koleżanka z kolegą z branży tu-

penetracje



W swym zapamiętaniu ludzie patrzą na wszystkich jednakowo podejrzliwie. Na jednym z zebrań środowiskowych w Łomży — bez uprzedniego sprawdzenia faktów — pracownica oświaty zażądała odebrania woli wicewojewodzie. Jednakże ten, mimo szczyrych chęci, postulat nie mógł spełnić, bowiem dysponuje jedynie spółdzielczym M-3. Natomiast chętnie zamieniłby je na M-4 swojej interlokutorki, lecz ona pewnie na to nie wyraziłaby zgody.

Od roku Gminna Spółdzielnia w Miastkowie dysponuje dwiema bezużytecznymi wagami: starą, wciąż nie zdemontowaną, i nową, rdzewiejącą na placu. Na dowód dobrej woli — GS zwoziła tam niedawno żwir do fundamentów, ale ktoś go wkrótce wywoził w sobie tylko znanym kierunku. Rolnicy uczą się cierpliwości w kolejce do wagi dziejskiej. Bardzo im się ona przyda, ponieważ skup potrwa do następnych wykopków.

W łomżyńskich delikatesach kulturowane są stare obyczaje: zapleczonej selekcji towaru na półkowy i podładowy, a nawet — lodówkowy w przypadku np. ptasiego mleczka. Z nowości delikatesy proponują: zakupy jarzyn i owoców w opakowaniach dostarczanych przez klientów, np. z sąsiednich stoisk, które — dla odmiany — i tak nie mają co w nich sprzedawać.

Pisaliśmy o skracaniu drogi przez kierowców PKS-u i MKZ, lecz czymże byłaby reguła bez wyjątku? Oto niedawno autobus PKS-u, udający się z Łomży do Grajewa, zbieczył w Stawiskach do Zaskroźnia, dokąd kierowca — na polecenie dyrektora — „podrzucił” jednego z pracowników przedsiębiorstwa. Używając państwowego taboru w charakterze dorożek byłoby mniej widoczne w przypadku samochodu służbowego dyrektora.

Zakład Energetyki Ciepłej w Łomży postanowił poczynić oszczędności i zyskać w ten sposób chwałę kosztem zdrowotności mieszkańców. Początek sezonu ogrzewczego wyznacza temperatura powietrza, i w wielu miastach kraju zaczął się on 1 października, natomiast w Łomży trzeba było mieszkaniom grać własnym oddechem lub rozejrzeć się za „słoneczkiem”, co też sporo mieszkańców uczyniło. W ten sposób oszczędność energii stała się pozorna. Dla rozbawiania zniechęconych łomżyńskich informujemy, że dwa bloki w osiedlu Południe w ogóle nie są podłączone do sieci ciepłowniczej, a dwa następne — tylko przewoźniczo, w związku z czym ich mieszkańcy pilnie poszukują pieców węglowych, tzw. „kóz”, których kominy łatwo da się wyprowadzić przez ogromne szpary w drzwiach i oknach. Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa — po sporządzeniu w sierpniu rejestru fuszerek — przestała się nimi zajmować, co tłumaczy faktem, iż swój „limit usuwania usterek wyczerpała do 15 października”.

Jesteście kupą baranów — powiedział pracownikom Banku Rolnego w Zawadach mieszkaniom gminy, któremu źle naliczono oprocentowanie wypłaty. Urzędnicy z nie wymuszoną radością przyjęli słowa szczerej krytyki i rażno, w pogodnej atmosferze, powrócili do pracy.

Jak Urząd zechce, to wam nawet śmietniki pod okna postawi — powiedziała kierowniczka Wydziału Gospodarki Terenowej Urzędu Miejskiego mieszkanki Łomży, która skarżyła się na samowolne buszowanie koparki w ogródkach osiedlowych.

Warszawę jeżdżą się odchamiać. Obie zgodnie uważają, że wyróżnikiem Łomży w chwili obecnej jest pijaństwo — owa dziecięca choroba nowych osiedli — oraz wyjazdy za ocean. (— To pani nie wie?! Wyjechał raz jeden Kurp, otworzył tam przedsiębiorstwo i tak się zaczęło. Jeżdżą, jak po sznurku, odpracowują podróż, zarabiają, wracają i budują domy z kukawkami).

Obu im leży na sercu dobro Łomży, i na tym ich podobieństwa się kończą. Ta ze środowisk twórczych reprezentuje stanowisko skrajnie intelektualne; bibliotekarka, rodem z Poznańskiego, choć bardzo sobie ceni owo szampańskie nieleczenie się z możliwościami, wolałaby trochę rozsądku w tej fantazji. Niechby nadbudowa trochę liczyła się z bazą, której brakuje. Katastrofalnie. Lekarzy wyciekają — żeby to na Śląsk — do Ostrołęki. Za powiatu czytelnia miała dziewięć stolików i nadział książek powiatowy; za województwa książek przybyło, ale sala się nie rozciągnęła, więc bibliotekarka trzyma książki nie rozpakowane, a ludzie stoją w kolejce (Łomża posiada najwyższy wskaźnik czytelnictwa w kraju). Intelektualna konduje: tak trzeba. Trzeba brać siły na zamiary, to prawidłowy kierunek przy każdym eksperymencie.

Czy za powiatu przyjechałyby do nas takie Gardziecice? — argumentuje.

Ja: — Kto taki? Ona, zgorzchniona moją ignoracją, na stronie: — Nie mogę... — Do mnie: — Taka grupa awangardowa z Lubelskiego, a'la Grotowski. Folklor z awangarda.

Bibliotekarka: — E, tam. Za powiatu przyjeżdżali Sunderland, Samsonowicz, Wiśniewski, Doroszewski, jak żył, bo się znali z ludźmi, a teraz do kogo przyjadą, jak ludzie wyciekają?

Intelektualna: — Z kultury nie wyciekają.

Bibliotekarka: — A Zenek Piechockiński?

Intelektualna (uparcie): — Ale za powiatu przyjeżdżała tylko Rodowicz a za województwa — Łukasiewicz.

Ja (gwałtownie): — Kto taki?

Intelektualna, na stronie: — Ja się zabiję! — Do mnie: — No, Olgierd, Olgierd Łukasiewicz.

Im niżej zorze zachodu i bliższy spokój nocy, tym większe zaciętrzenie moich interlokutorów. Zostawiam je przy omawianiu wioski literackiej w Drozdowie i innych „szaleństwach” wicewojewody Clapki, co do których mają biegunowo różne zdania.

Wychodząc, zerkam w stronę baru. Na stolikach dwóch niedobitków, jak Marek i Wacek, pianiści — wirtuozi. Mniejszy i większy, ciemniejszy i jaśniejszy, brodawasaci, młodzieżowi. Dziennikarze ze stolicy. W Łomży — za chlebem. Poważnie. Nowe czasopismo łomżyńskie zaprosiło ich do konkursu na reportaże. Otrzymał wadliwy. Interesuje ich ujęcie tematu syntetyczne. Żadne tam regionalizmy, żadne cepeliady, tylko prawidłowości typowe dla kraju, mechanizmy charakterystyczne dla całości. A jak się nie spodoba, sprzedadzą w prasie centralnej.

O dwudziestą trzecią kompleks gastronomiczny „Poloneza” wygasza światła. Spać idą hotel i miasto, ulice i bramy, urzędnicy i klerycy, prywatni i pijacy.

Fot. GABOR LÖRINCZY

łych, obfitujących w indywidualności nauczycielskie, szkół średnich.

— Podobno władze wojewódzkie — mówię — planują nowy renesans kulturalny Łomży. Ale jest dylemat: ściga się nowych ludzi, a starzy łomżanie, słysząc, czują się odsunięci...

— Czują się odsunięci, lecz iluż z nich ma doktoraty? — Retoryka księdza profesora ma jednoznaczną wymowę.

Gdy wychodząc, mocuję się z ciężkimi drzwiami, słyszę za sobą śmiech i uwagę: — Oj, chyba bez obiadu! — Znow klerycy.

Bez. Nie ryzykuję jednak wejścia do swojej restauracji „Satyr”, którą mam po drodze, odstraszoną już u progu silnymi nastrojami postępnymi.

W restauracji „Poloneza” (mrok, wystrój dancinowy), która znajduje się vis à vis kawiarni, kelnerki spieszą zsuwając stoły. Obiad dla wycieczki, która, pochrzając, szykuje się do zajęcia miejsc.

— Branza? — pytam.

— Naftalinowa, he-he-he, naftalinowa. Tour de Pologne emerytów, szanowna pani.

Poza tym na sali pusto. Tylko trzy stoliki zajęte. Z „powietrza” dochodzą telewizyjne ogłosey futbolowych rozgrywek o mistrzostwo Europy.

— Dlaczego nie oglądacie meczu Anglia — Belgia? — pytam męski stolik.

— Jak nie ma Polski, nie ma ciekawości; — mówią i na tym kończą zwierzenia. Nie chcą powiedzieć o sobie nic, nawet marzeń.

— Momento more — łapie mnie za rękaw ten z brzegu — marzenie powiem: luźno stojący bliźniak w Łomży.

Chciałby mieć.

Tak się składa, że luźno stojący bliźniak stawia sobie właśnie swój kolejny rozmówca — gość przy barze. (Bar znajduje się w „Polonezie” między restauracją a kawiarnią). Przyszedł oblać zakup wapna (1000 złotych za dwie tony), a to jest wpływy kolega, który mu ten zakup ułatwił. Jak jutro ułatwi zakup cementu, też tu przyjdę. Wpływowy kolega potakuje, że owszem, ułatwi. Już po kilku kolejkach; a co do pracy, to tylko tyle powie, że pracuje jako kierowca w osławionym STW, ale nie zdradzi skrótu. Pyta, czy nie znam Kowalskich z Warszawy. Bliska rodzina. A Łomżyca to jest takie wydzielone miejsce w Łomży, gdzie buduje sobie domki „bawelna” i ludzie z doskoku. Można stawiać szeregówkę, bliźniaki i pojedynki. Kolega, który jest dopiero po wojsku, stawia bliźniak z mamusią.

— Ale gdybym powiedział pani, gdzie mamusia pracuje, doszłaby pani po nitce do kłębka — przytomnie je ten „po wojsku” i ucina: — Nie było rozmowy.

Obaj od Łomży wolą Białystok.

Wieczorem w kawiarni dwie dziewczyny nad kawą kontemplują późny czerwcowy zachód słońca. Młode gniewne, wysmakowane, boutiquowe, bardzo kulturalne. Pracują też w kulturze. Jedna w bibliotece, druga — w środowiskach twórczych. Do

ator-hobbysta, tak się wszystkim przedstawia. Przyleciał do Polski zrobić zdjęcie bunkra Hitlera, brać w kolekcji. Prosto z lotnisk wziął taxi. Taksjarsz zostawił go tutaj, bo musiał coś załatwić. — Czy to już Mazurian Lakes? — pyta coraz smutniejszy i coraz bardziej niepewny w otoczeniu ludzi, którzy nie umieją dzielić jego radości życia.

O tej porze dnia (obiad) w hallu tworzy się kolejka do stoiska Perwexu (wódka plus sztruksy), która gęstnieć będzie aż do zmroku. Na blacie recepcji pojawi się metalowy napis: „Miejsc brak”, a fotele obijają ludzie sennie obserwujący ruch u wejścia. Pokojówka z piątego piętra zgłosi, że znow ktoś wywrócił się przy windach, co wywoła lekkie zaniepokojenie personelu, a recepcjonistka opowie mi historię fatalnych wind na piątym piętrze: odłaz artystka estradowa zwichnęła tam nogę i nie mogła wystąpić, a hotel płacił odszkodowanie, nad windami umieszczono napis: „Obniżenie poziomu (depression), Attention, Descente Rapide”; nie zlikwidowano jednak zdradliwego dółka, który — zamaskowany miękką wykładziną — kładzie ludzi pokotem.

Po wymianie zdań z recepcją wychodzę z hotelu. Kroki kierują mnie pod seminarium duchowne (dawna siedziba carskiego gubernatora); w w korytarzu uderza mnie zapach dobrej pieczeni wołowej oraz hur-ma rozbrzykanych wyrostków, jak na dużej przerwie w szkole. W parlatorium książd profesor Jemielity wyjaśnia, że to klerycy — właśnie w trakcie egzaminów, więc może zdenerwowanie przybiera postać rozbrzykania. Powód do zdenerwowania jest, ponieważ część tych młodych ludzi nigdy nie przywdzieje sutan-ny z powodu niemożności osiągnięcia odpowiedniej wiedzy. Konstatacja księdza profesora jest bezapelacyjna: do pracy duszpasterskiej nie wystarczają powołanie, trzeba jeszcze mieć intelektualny poziom. Niemniej tych, którzy przebrną przez sito egzaminacyjne, wystarczy na potrzeby diecezji.

Obszar diecezji łomżyńskiej nie pokrywa się z obszarem województwa. Diecezja sięga głębiej na północny zachód, natomiast kurczy się ku wschodowi. Obejmuje np. Myścisław, ale bagienne Trzcinian należą już do diecezji białostockiej.

— Do diecezji z siedzibą w Białymstoku — poprawia książd profesor, pouczając, że jest to błąd z gatunku nie językowych, lecz semantycznych. Terytorialny podział kościelny w znacznie większym stopniu niż administracyjny pokrywa się z historią. Układ w Tyłży w 1807 r. „przydzielił” Łomżę z okolicą Księstwu Warszawskiemu, a dzisiejsze województwa białostockie i bialskopodlaskie — cesarstwu. Prócz rezultatu politycznego, implikacje, które z tego tytułu wyniknęły, tyczą głównie sfery świadomości, więc i języka: — Proszę zauważyć, jak łomżanie mówią, jak warszawiacy, bez cienia zabużańskiego zaśpiewu.

A charakterystyka miasta? No cóż, istnieje coś takiego, jak pojęcie miasta uniwersyteckiego w Europie. Składa się nań nie tylko fizyczna obecność uczelni, ale pewna atmosfera intelektualna. Otóż Łomża, gdzie nie było wyższej uczelni, zawsze słynęła z doskonałych, świat-

popija rękę. tego czołoma la. Naj- a. Troje- jak mie- jak szła- ty. „przgnęła” maso- ści do- głębiej- nies- śnie us- na (słom- itur oś- jak z ob- edł do- ów”, a-

— Chcesz, wypijemy po kieliszku wina.

Nie czekając na odpowiedź, wstała, otworzyła butelkę, nalała wina, zgasiła papierosa i powiedziała prawie obojętnie: — Wyznaczono termin rozprawy Antka i Nidzińskiego. Sytuacja nie wygląda dobrze. Jesteś wspomniany w akcie oskarżenia. Co masz tak głupią minę?

— Wszystko Nowaczek?

— Nie ma o nim mowy. Sypie znajomy Antka, który załamał się w śledztwie i pociągnął za sobą Nidzińskiego. O tobie tylko słyszał.

— Tym lepiej dla mnie.

— Lecz nie dla sprawy. W każdym razie wszystko wiedzą o tobie.

— Znowu aplikant?

— W pewnym sensie tak.

— Co masz dla mnie?

— Fotokopię z raportu Nowaczka.

— Kłamiesz?

— Nie.

— Jego ręką pisany?

— Tak — Musiałam z nim kilka razy się spotykać. Bardziej inteligentny, niż myślałam. Sądził, że mnie zwęrbował. Kiedy mi przyniósł ten świstek, drżały mu ręce. Nie ze strachu, z miłości.

— Gdzie masz ten dokument?

— W komodzie. Zamknęty na klucz. Nie patrz tak na mnie. Wiem, że możesz mnie zabić. Klucz od komody? Proszę.

Nie ruszył się z miejsca. Kluczyk na jej dłoni był śmieszny i niepotrzebny. Widział tylko błękitną koronkę niebieskich majtek. Patrzył jak uręczony.

— Możesz mnie poczęstować papierosem?

— Proszę. Jeszcze kieliszek wina?

— Nowaczek ma w ręku całe KD i nawet KW. Musimy się bronić.

— Siatka jest zamknięta, więc co da obrona? Kochasz mnie?

— Nie.

Otworzyła torebkę: — Oto fotokopia dokumentu.

Trzymał go w ręku i nie wiedział, co z sobą począć.

— Możesz iść.

Wstał. Pochylił się i pocałował ją w rękę.

— Pamiętaj, że jesteś moim dłużnikiem.

Odwrócił się: — To potem, Halino.

— Dobrze, ale pamiętaj.

Nazajutrz spotkał się z Janem Wróblewskim. Sekretarz czytał dokument długo, wreszcie podniósł zatroskaną twarz.

Strajk w przedzalni „Wola” poruszył Warszawę. Nie dlatego, że strajki były rzadkością; upór, wytrwałość, z jaką robotnicy „Woli” przez cztery miesiące trwali przy swoich uprawnieniach, budziła zdumienie, podziw i szacunek. W całym kraju zbierano składki na utrzymanie rodzin strajkujących i organizowano akcje solidarnościowe; między innymi stanęły Zakłady Żyrardowskie. Maria Dąbrowska, przewodnicząca rady zakładowej przedzalni „Wola”, stała się z każdym dniem coraz bardziej popularna. Z natury rzeczy PPS-Lewica i lokal przy ulicy Żelaznej był bazą akcji strajkowej. Adam Targowiak przemawiał na wiecach, organizował działalność solidarnościową. Kontakty z Dąbrowską, Wąsikówną, Piotrowskim, Jemiołą, Belą Kogan, a nawet Augustyniakiem, który nie pozostał na uboczu, przerodziły się w przyjacielskie związki. Bywali u siebie, lubili godzinami rozmawiać o wspólnych sprawach, nierzadko wypijali „czystość” dla kurażu. Policja coraz niecierpliwiej łaziła im po piętach. Z Komitetem Solidarnościowym współpracowali Zocha i Jola. Nawet

Szymkowiak organizował zbieranie datków na Wydziale Lekarskim oraz różne formy pomocy zdrowotnej.

Cześkę Wąsikówną nazywali adiutantem Dąbrowskiej. Była to miła, prosta, w miarę przystojna blondynka, wyszczekana, lecz nie w sposób natrętny. Chłopców nie miała. Być może nie miała czasu zakochać się albo — zabiegana w organizacji — nie odczuwała tego rodzaju potrzeby. Nie bez wpływu na jej sposób bycia pozostawała tradycja, robotnicza rodzina, stara matka, dla której zawsze znajdowała czas. Zaprzyjaźniła się z Zochą i bywały u siebie bez uprzedzenia, na zasadzie spraw do załatwienia. Wracając z Cechą z masówką pod Norblinem Adam został napadnięty i pobity przez bojówkę Łokietka, przywódcy złotych związków, z których rekrutowali się łamistrajki. Uderzony łomem — nie miał czasu się bronić, a zanim się podniósł, napastników nie było. Krwawił, ale niegroźnie. Przestraszona Cecha zabrała go do siebie. Obmyła ranę na głowie, opatrzyła, przyłożyła kompres, zakreśliła się przy obiedzie. Co chwilę wpadała do pokoju, by się dowiedzieć jak Adam

— Pomoże, nie pomoże, więc trzeba zwołać.

— Tak sądzisz? Nie chodzi zresztą o nas, lecz ich rodziny. Przypierają głodem. Może by tak wystać delegację do dyrekcji? Jej się też chyba cały ten interes nie opłaca.

— Nie masz racji.

— Dlaczego?

— Najpierw więc, demonstracja, pokaz siły, a później rozmowy? Trzeba było postąpić odwrotnie. Polityki nie można prowadzić kosztem robotników. W tym przypadku zgadzam się z Augustyniakiem. Ma doświadczenie większe od ciebie.

— I więcej oportunizmu.

— Bajdurzysz.

— Pokaż kolano i przestań mnie męczyć. Dokuczyło mi leżenie. Oj, głowa!

— Widzisz, wygłupiasz się. Zadzwoń po Szymkowiaka, przyśle lekarza.

— Na razie usiądź koło mnie i opowiedz bajkę.

— Jaką znowu bajkę?

— No to ja opowiem ci sen. Tylko nie śmiej się. Wszystko było naprawdę. Uciekałem przed pościgiem. Pamiętam, wyskoczyłem przez okno. Wywalił drzwi. Może policja, może

ulicy Żelaznej, skąd miał się udać na spotkanie z Dąbrowską. Gdy skręcał w Ogrodową, został zatrzymany przez trzech agentów policji. Odwieszono go na ulicę Daniłowiczowską w dwie godziny potem siedział w gabinecie komisarza Pogorzelskiego.

— No, cóż panie Targowiak, u-

przedziałem pana, że się spotkam. Wprawdzie w innych okolicznościach, ale dla pana nie lepszych. Więcej musi być pan zadowolony. Nie ile pan ocenia całe to zgromadzenie!

— Nie mniej niż pięć tysięcy.

— Przesadza pan. Należy odliczyć tysiąc moich agentów i napędzonych przez Bund, Żydów z Murdzela.

— Robotnicy żydowscy solidaryzo-

wali się z nami.

— Powiedzmy. Solidaryzowała się z wami KPP i KZMP. Towarzyszka Bela Kogan otrzymała premię, a pan u nas posiedzi. Czy mogło być odwrotnie? Nie. Mamy dużo czasu. Jeden więcej, jeden mniej, jaka to dla nas różnica. Im więcej wieców, tym więcej Bel i Josków. W takiej sytuacji i Pogorzelski jest potrzebny. Dla zasady. Pana posadzę również dla zasady, chyba że pan pomoże mi zakończyć strajk w przedzalni „Wola”.

— Warunek czy szantaż?

— Ani warunek, ani szantaż. Nie chodzi mi o właścicieli przedzalni, lecz o głodujące rodziny. Pan nie ma sumienia, panie Targowiak. Z zimną krwią zabił pan Nowaczka, a teraz wydaje pan rodziny na śmierć głodową. Wąsikówna dupa dorobiła, lecz dla innych jest to problem. Dlaczego pan milczy?

— Pozwoli pan, panie komisarzu, że i ja coś panu powiem. Zostaw pan nas w spokoju, a strajk się skończy. Skrzyński i Totbaum, właściciele przedzalni, mają puste kieszenie.

— Przypuścimy.

Chwila ciszy.

— No dobrze, gotów jestem panu zaufać. Nie jest pan najgłupszym chłopcem i gra pan własną kartą. Możemy się jakiś czas oszukiwać, lecz niech pan pamięta, że ostatecznie posunięcie należy do mnie. Na zakończenie pytanie zupełnie prywatnej natury: dlaczego pan, panie Adamie, nosi przy sobie kondony?

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

się czuje. Zartowała, że stanie się siostrą miłosierdzia.

— Do bicia można się przyzwyczaić — uśmiechnął się Adam — choć głupio tak leżeć na ulicy i nie wiedzieć, co się stało.

— Chciałam krzyczeć, lecz bałam się policji.

— Usiądź koło mnie i przestań się kręcić.

— Przypała mi się kluski. Bardzo cię lubię, Adam, nierzay myślę, co cię sprowadziło do nas.

— Gdybym ja wiedział... Stało się to niezależnie ode mnie.

banda Łokietka. Nie było wysoko, o-tarłem się o krzewy, upadłem. Wy-soki płot zagroził mi drogę. Strze-lano do mnie przez okno. Gdy prze-skoczyłem ogrodzenie, spostrzegłem idącego pustą ulicą Nowaczka. Nie widział mnie. A może widział, tylko udawał. Szedł prosto na mnie. Nie byłem w stanie go wyminąć. Przycisnąłem się do płotu. Nowaczek zatrzymał się, i nim zdążyłem cokol-wiek powiedzieć, władował we mnie cały magazynek. Nie upadłem. Prze-cież nie żył i nie mógł strzelać. „Nie byłem prowokiem — powiedział, a



Zdjęcie ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego

— E, cyganisz. Z samych książek ci to nie przyszo.

— Z książek i z życia. A potem nie ma wyjścia: albo wygrasz, albo cię zamkną. Ładne masz nogi, gdy tak siedzisz koło mnie.

— A gdy nie siedzę.

— Jeszcze nie zdążyłem pomyśleć.

— Gdyby nie Zocha, mogłabym cię pokochać. Jesteś fajny, inny, czasami dziwny, zawsze na miejscu.

— To znaczy?

— Nie jesteś cham. Trudno ci czegośkolwiek odmówić.

— Z tobą, Cześka, trzeba się zenić, a ja mam Zochę.

— Też prawda. Poczekaj, zmarnuję cały obiad; zjemy, pogadamy.

Wpadła Dąbrowska z Jemiołą, po chwili Bela. Ucieszyli się, że nie groźnego się nie stało, pokręcili się, nagadali plotek i wyszli. Cześka podała obiad. Znalazła nawet piwo.

— Jak sądzisz, Adam, kiedy strajk się skończy? Maria chce zwołać w sali Bundu na Lesznie wiec związków klasowych, ale czy to co pomo-

że? — Popatrzył ironicznie i dodał: — a tym mnie chciałeś zabić, idioto! Chciałem go uderzyć, lecz już nikogo nie było. Pobiegłem pustą ulicą. Wpadłem do mieszkania. Wtedy wszedł Nowaczek i zastrzelił mnie. Siedziałem na brzegu łóżka, w którym ciebie nie było.

— Pleciesz byle co. Masz gorączkę. Zawołam lekarza.

Doktor wkrótce się zjawił, kazał wezwać pogotowie i Targowiaka zabrano do szpitala. Dopiero po tygodniu zjawił się w domu. Zochy nie zastał, Jola na jego widok załamała ręce. Poprosił o kieliszek wódki i pojechał do lokalu PPS-Lewicy na Żelazną.

Wiec na Lesznie zgromadził do pięciu tysięcy ludzi. Przemawiał Augustyniak, Dąbrowska i Piotrowski z Norblina. Przyjęto rezolucję, którą odczytał Targowiak. Odczytano depesze do sekretarza generalnego i przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Włóknarzy. Po wiecu Targowiak wpadł do lokalu przy

— Jest to jedyna dziedzina, w której nie mogę sobie zaufać.

Pogorzelski roześmiał się: — Może ma pan i rację. Pozdrowienia dla pani Haliny. Przestraszył się pan? Zbyt cznie. Wiem, że pan do niej już nie chodzi. Ale gdyby ją pan przypadkowo spotkał, może pan powiedzieć, że Antek Boniecki wyjdzie na przedterminowe zwolnienie. Nie musi spieszyć się z wyjazdem za granicę. Jakiś czas pozwolimy mu spacerować. Takie wólcęgi są dla nas pożyteczne. Nie żał panu Haliny? Kobiety rozgoryczone stają się niebezpieczne. Mają długi język.

Adam milczał.

— Do zobaczenia. Sądję, że w niedługim czasie.

Pod wieczór Targowiak udał się na Ciepłą; nie zastał nikogo. Usmażył jajecznicę i miał się położyć, gdy rozległ się dzwonek i weszła Janka Orłowska.

— Witam cię, Adam, nie ma Zo-

chy? — Wróciłem przed chwilą z aresztu i nie orientuję się w sytuacji.

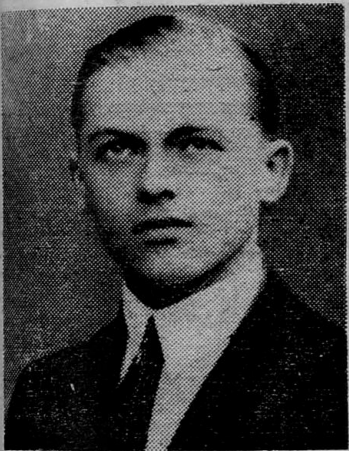


DZIEJE ŁOMŻYŃSKIEGO WIEZIENIA

Przez wiele wieków w konfliktach interesów społecznych prawo stało bezwzględnie po stronie klasy posiadającej, zwracając swe ostrze w stronę jej przeciwników. W obawie przed buntującymi się wznoszono gładkie mury, wieże obserwacyjne, karcery. Zniszczenie tej niesprawiedliwości, chronionej pieczołowicie, wymagało cierpienia i poświęceń licznych pokoleń.

Jako malutki berbeć — wchodziłam z rówieśnikami przez dziurę w murze na dziedziniec byłego łomżyńskiego więzienia. Ze zgrozą patrzyliśmy na wybrukowane kocimi łbami podwórze, kanciaste bryły budynków z czerwonej cegły, kraty w oknach. To wszystko przynęcało nas. Uciekaliśmy przez bramę, którą wprowadzano więźniów. A nasze kroki dudniły pod ceglany sklepieniem jeszcze wtedy, gdy byliśmy już na ulicy. Kiedy na rozbitych murach zaczęły wyrastać brzoźki, przyjechali ludzie z kilofami. Dawne więzienie przestało istnieć: wylupano z murów ogradzających dziedziniec cegły z nazwiskami więźniów, żmudnie wydrapanymi dla pamięci potomnych. Część zdarzeń utrwalono na tablicy pamiątkowej w 50 rocznicę powstania KPP. Gmach zamieniono na biuro. Przez furtę z dębowych kłoców, obitych stalową blachą, przeszły pokolenia. Powinno się o nich opowiedzieć to wszystko, co zostało zachowane w archiwach i ludzkiej pamięci.

W „Komunie miasta Łomży” Leon Pasternak pisał: „Żelaznymi wąskimi schodami prowadzono ich na górę. W migotliwym, żółtym świetle nocnym nie ogarniali początkowo całego wnętrza gmachu... Dopiero w galerii drugiego piętra zobaczyli, że



Aleksander Zawadzki na 3 lata przed osadzeniem w łomżyńskim więzieniu.

więzienie jest ogromne. Transport wszedł widocznie drugim wejściem albo wysoki mur i mrok przesłaniały główne bloki [...] Łomżyńskie więzienie zbudowane było w kształcie krzyża. Od kolistej środka, nad którym się właśnie znajdowali, rozchodziły się cztery ramiona, cztery olbrzymie nawy. Po obu ścianach każdej nawy biegły trzy galerie, trzy równoległe linie pięter, nie licząc parteru. Wzdłuż każdej linii, w równych odstępach, prostokątne drzwi cel opatrzone numerami. [...] Nigdzie ani kawałka drewna. Beton, asfalt i żelazo.”

Trudno w powieści oddzielić historyczną prawdę od literackiej fikcji. Bardziej miarodajne są w tym względzie dokumenty zachowane w Łomżyńskim Archiwum oraz Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego. Dokumenty, którymi dysponuje Archiwum powstały w więziennej kancelarii; nikt dotychczas od nich nie sięgał.

Gdy w styczniu 1945 r. likwidowano więzienie, jego historia liczyła już 120 lat. Pierwotnie (od roku 1825) mieściło się ono przy ulicy Wilejskiej. Budynki rozebrano w roku 1914, a dwa dotrwały nawet do końca drugiej wojny światowej. W roku 1892 zakończono budowę dużego, centralnego więzienia przy szosie Śniadowskiej (obecnie ulica Generała Świerczewskiego), podległego Głównemu Zarządowi Więziennictwa przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Było to osławione Łomżyńskie Wziesienie Gubernialne — jedno spośród najcięższych i największych, zaliczanych w Polsce międzywojennej do pierwszej klasy (rozdział I rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z 7 marca 1928 r.)



Jeden z trzech budynków jakie pozostały po łomżyńskim więzieniu.

W latach trzydziestych przebywało w nim około 1200 osób, z których 200—500 było więźniami politycznymi.

„W łomżyńskim więzieniu siedziało wielu komunistów z Ostrowca. Uwagę ich zwrócił odizolowany również na spacerze więzień, Bracia Spychajłowie poznali w nim „Kazika”. Na prośbę więźniów starosta komuny więziennej zwrócił się do naczelnika więzienia o pozwolenie przeniesienia chorego Olka do wspólnej celi. Tak w więzieniu kieleckim, jak i tu. Olkowi oraz więźniom politycznym

gał drogę. W roku 1915, z chwilą wejścia na teren ówczesnej guberni łomżyńskiej wojsk niemieckich, władze carskie ewakuowały dokumenty w głąb Rosji — do Riazania. Zarząd więzienia kontynuował swoją działalność aż do Rewolucji Październikowej, kiedy to został rozwiązany przez (specjalnie do tego powołane) komisje likwidacyjne. Akta więzienia gubernialnego wróciły do Polski w okresie międzywojennym, po podpisaniu Traktatu Ryskiego. Do roku 1930 przechowywano je w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie.

danych (z lat wojny), których zamknięto za uchylanie się od dostaw, podwód dla wojska i za szpiegostwo, rejestry aresztantów politycznych, którzy mogli zostać zwolnieni po zakończeniu działań wojennych, korespondencja w sprawie ucieczek więźniów politycznych znajdujących się na terenie Rosji. Można się z nich dowiedzieć, że miesięczne przedłużenie pobytu w więzieniu wymagało tylko decyzji administracyjnej Departamentu Policji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych lub gubernatora, że przebywali tu, przynajmniej

milczące teczki

pomagał MOPR [...] Zanim Eugenia Altenberg i Stefania Sempłowska zaczęły przysyłać Olkowi lekarstwa, komuna więzienna zakupywała je z własnych środków”. (Aleksander Zawadzki i Otilia Wyszomirska-Kuźmińska w serii „Współczesne życiorysy Polaków”). Komuna więzienna działała od roku 1924 aż do wybuchu wojny. „Komuna była biedna — pisał Leon Pasternak — Większość ludzi z wiejskiego i miejskiego proletariatu nie otrzymywała pieniędzy na wypis. Wieloma towarzyszami nikt z wolności nie opiekował się [...] W komunie było kilkudziesięciu gruzlików, częste były choroby żołądka i stawów. Szerzył się szkorbut”. Aktywnie działał w Łomżyńskim Komitecie Okręgowym Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Jego pomoc — w postaci pieniędzy, produktów żywnościowych, opieki nad rodzinami komunistów, funduszy na opłacanie obrońców — okazywała się częstokroć bardzo cenna, na wagę życia.

Wróćmy do czasów carskich. Wzniesiono wówczas kilka murowanych, dwu- i trzypiętrowych budynków. Teren więzienny, liczący — jak mówią dokumenty — 1940 sążni kwadratowych, otoczony był grubym, wysokim murem ze strażnicami. Władze carskie obliczyły, że będzie tu można osadzić 450 osób. O wadze „przestępstw” za jakie trafiali tu ludzie, świadczy podział cel na jedno- i wieloosobowe: wydzielono 230 cel pojedynczych dla mężczyzn i 59 dla kobiet oraz 11 ogólnych dla 121 mężczyzn i 3 dla 28 kobiet. Potężne mury kryły 8 karcerów i lazaret, w którym można było „kurować” po przesłuchaniach jednocześnie 26 mężczyzn i 12 kobiet.

W latach 1892—1914 przebywało w nim średnio około 230 osób. Ale zdarzały się też okresy, gdy liczba więźniów była pięciokrotnie większa. W roku 1905 na przykład, zamknięto w więzieniu ponad dwa tysiące osób — uczestników strajków robotniczo-chłopskich i innych wystąpień przeciwko caratowi.

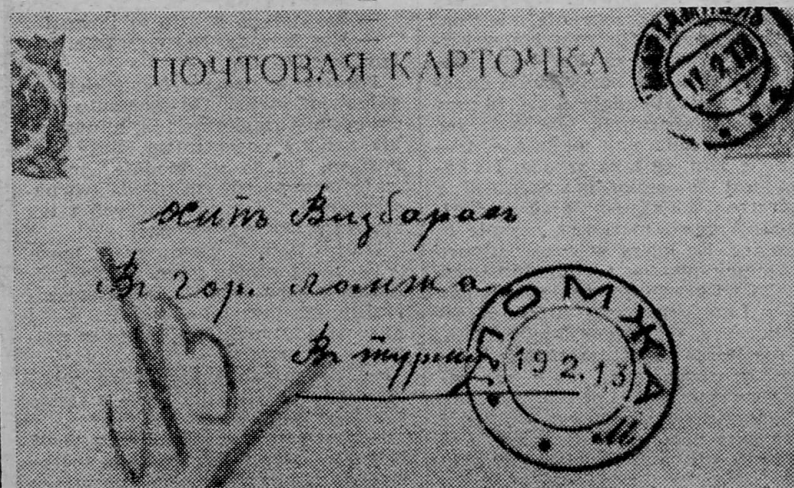
W Łomżyńskim Archiwum zachowały się dokumenty więzienne z lat 1888—1917; łącznie 119 teczek z niebieskiego kartonu, najwięcej z lat 1913—1914. Jest to zbiór niepełny. Nic dziwnego, ponieważ ma za sobą dłu-

gą drogę. W czasie II wojny światowej Niemcy wywieźli z „Archiwum” ogromną ilość cennych dokumentów polskich, a znaczną ich część zniszczyli w czasie Powstania Warszawskiego. Dopiero w roku 1969 akta więzienia zostały przekazane do Powiatowego Archiwum Państwowego w Łomży. Mimo tych wędrówek udało się zachować bardzo wiele cennych dokumentów, między innymi księgi przyjęcia więźniów z lat 1891—1915, raporty o ich stanie, szczegółowe przychody i rozchody materiałów zużytych do oświetlania i ogrzewania

w roku 1913, więźniowie małoletni, że ucieczki zdarzały się z robót prowadzonych poza więzieniem.

Życie w więzieniu toczyło się swym własnym nurtem. W roku 1913 obchodzono tu — na przykład — 300-lecie „Domu Romanowych” (zachowały się materiały reklamowe, opis święta, tekst przemówienia radcy Urzędu Gubernialnego — Sztaniwercewa oraz spisy więźniów zwolnionych w wyniku amnestii 21 marca 1913 r.).

Dokumenty mówią także, dla kogo więzienie było po prostu miejscem



(drewna, węgla, nafty), dowody pracy więźniów. Istniały trzy warsztaty: tkacki, ślusarski i stolarski. Z książeczek pracy więźniów wynika, że zajmowali się oni także szewstwem, krawiectwem, pobielaniem naczyń, darcie pierza itp. Niektórych zatrudniano przy pracach budowlanych w mieście. Płacono im 20 kopiejek dziennie.

W spisach więźniów politycznych zachowały się ich charakterystyki, sprawozdania dotyczące małoletnich, chorych, zmarłych oraz zesłanych na katorgę. Jest też korespondencja z sądami i innymi instytucjami, kontrolka listów od i do więźniów oraz kilka listów w oryginalnych kopertach, ze znaczkami i pieczęciami. W tych podniszczonych teczkach znaleźć można zapisy niemieckich pod-

pracy. Są wśród nich spisy straży więziennej, listy plac, wykazy wyposażenia placówki w broń, akta personalne pracowników: naczelnika, starszych i młodszych strażników, pisarza, mechanika, kobiety-strażnika. Bliżej możemy wejrzeć w majątek więzienia za pośrednictwem protokołów kapitana Sztęgmana, sporządzonych dla Aleksandra Nikołasa. Wiele tu nazwisk — polskich i obcych — oraz szczegółów dotyczących ich zajęć, funduszy otrzymanych na leczenie i naukę dzieci.

Są to dokumenty niezwykle cenne. Stanowią ważne i ciekawe źródło dziejów politycznych. Dlatego postanowiliśmy je przedstawić w kolejnych opracowaniach.

TERESA POLECKA
MIKOŁAJ JEDNACZ
Fot. RYSZARD PIECHOCIŃSKI





Chodanowski

Z DRUGIEJ STRONY CZASU

frasunki i zmartwienia

Mamy ich wszyscy co niemiaral. Zwłaszcza tu na wsi. Tymczasem mieszcuchy wytykają nas palcami i mówią:

— O, ci to mają dobrze. Żyją sobie bezproblemowo, wygodnie. Jak hrabiowie!

Bogdajby z takim życiem! Ludzie gadają, bo nie wiedzą. Bo weźmy dla przykładu zwykłe jajko. Taką maleńką rzecz jak jajko. I popatrzmy uważnie co się dzieje. Jeszcze zanim go zniesie kura, człowiek już się martwi. A może straci, a może zbieje? Gdzie zniesie? Potem, człowiek się martwi, bo nie wie, czy to jajko dobre, czy czyste. Czy zależone, czy nie? Kiedy kładzie pod kwokę, żeby wysiedziała małe. Jak się wylęgnie kurczak człowiek już nie śpi po nocy frasuując się, czy aby da radę wyleźć sam ze skorupy. Jak piśnie tylko głośnie, leci wystraszony myśląc, że już go nasiadka przysięgnęła. Jak przysięgnęła — zmartwienie. Chować kalekę, czy nie chować? Wyżyje, czy nie wyżyje? Jak zdechnie, nie dać Bóg — szkoda. Kurczaki idą wreszcie na podwórze. O, Boże! Ile człowiek się naduma, namyśli. Bo co zakracze wrona, to zdaje ci się, że przy twoich maleństwach. Martwisz się, żeby nie wzięła. Jak weźmie — trujesz się tym, że taka szkoda. I z kółtem jest to samo. I z kuną. I z tchórzem. Pisklaki rosną jak na drogach. A ty się martwisz, czy nie za dużo żrą. Bo kaszy w worku ubywa i pszenicy ubywa, i ryżu. Martwisz się, bo wiesz, że ani w Jedwabnem, ani w Łomży tego nie kupisz. Uroś nie kurczak, też ci nie daje spokoju. Bo nie wiesz co z nim zrobić. Ugotować w niedzielę na obiad, czy zanieść na jarmark i sprzedać. Jak sprzedasz też się irytujesz. Co kupić za te parę groszy? Kiedy niczego w sklepach nie ma? Lepiej już było zjeść kurczaka i mieć spokój.

Tak, tak, trzeba było w ogóle zjeść jajko i mieć spokój. Tylko co wtedy by jedli inni? Kłopoty z jajkiem są jeszcze niczym w porównaniu z tymi jakimi się ma przy wychowaniu większego zwierzęcia. Takiej świni na przykład, czy krowy. A wszystko razem wzięte do kupy? Czym jest? Lepiej nie mówić, bo i tak ludzie nie wierzą. Ale to są tak zwane kłopoty indywidualne i nie o nich zamierzam pisać. Istnieją jeszcze kłopoty wspólne, wioskowe. Takim utrapieniem dla janczewiaków są parowy. Przed laty trzęsawiska i bagna, liche pańniki. Ludzie wykorzystywali je głównie do robienia torfu. Nogami i przy pomocy maszyny. Przygotowywało się spory dół, wrzucało do niego suchy torf, zalewało wodą i dalej wygniatać i uginać nogami. Jak ciasto. A potem wkładało się to czarne ohydztwo do

form, okrągłych, pojedynczych, którymi były mocne, choć cienkie osłony od przetaków i sitek. Kiedy torf nieco przesechł, zestawiało się go w małe namiotki, a po zupełnym wyschnięciu, w ołbrzymie kopy.

Wspominamy te czasy w Janczewie, a nasze dzieci śmieją się i nie chcą uwierzyć w coś takiego. A niech tam, uwierzą jak popracują sobie, i to może już niedługo, przy tej robotce.

Wspominamy te czasy, nie bez powodu. Węgla znowu brakuje. To, co się wyrabia w GS-ie przechodzi ludzkie pojęcie. Naród po prostu dziczeje. Prośby prezesa GS-u — pani Kowalskiej — nie dają rezultatu. Nie pomaga wyznaczanie godzin sprzedaży, organizacja. Nikt nie chce respektować terminów. Nikt poza, oczywiście, mieszkańcami mojej wsi.

— Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy znowu kopać torf — mówi chrześtny.

— Kiedy, zimą?
— Jak trzeba będzie to i zimą!
— Nie da rady. Nie wyschnie. Latem, to co innego.

Parowy są naszym frasunkiem ogólnowioskowym. Od momentu kiedy zostały zmeliorowane, a następnie zasiane nową trawą, stały się naszym, jak to się modnie mówi, „zagłębem paszowym”. Podstawą naszego mleka i masła, których i tak zresztą brakuje w sklepach.

Otóż ostatnio, zbieramy z parowów coraz mniej siana. Rowy melioracyjne pozarastały sitowiem, zamuliły się, przestały istnieć. Woda zamiast odpływać, stoi sobie w najlepszym smugu.

— Niech nam tylko dadzą jakąś koparkę — mówią ludzie — a resztę zrobimy sami.

— Oplacamy składki i co z tego? Kogo to interesuje? Tę całą spółkę wodną trzeba rozpedzić na cztery wiatry — postulują Antek.

Kłopoty, kłopoty. Nasze małe, a jednak ogromne kłopoty. Suma tych udręk składa się na obraz dnia dzisiejszego naszego kraju. Albo takie dziewczęta. Szukają bezskutecznie pracy. Ewa, Marysia, Jagoda, Grażyna, to nawet od roku. Skończyły technikę i nic. Siedzą w domu. Ludzie się martwią, bo chcieliby, żeby i z maleńkiego Janczewa pracował na posadzie państwowej. W jakimś ważnym urzędzie. Bogdaj nawet w Jedwabnem.

— Nauczone nie gorzej niż inne — mówią — ładne, zdadne dziewczyny i co? Nie ma dla nich roboty? Dlaczego?

Chrzestny mówi, że to z powodu braku „pleców”. I odpowiednich znajomości. Sam już nie wiem jak, to z ta praca jest naprawdę.

TADEUSZ MOCARSKI

poufny dziennik bez dat

Wiele w ostatnich tygodniach padło słów z niejednych ust. Z całą otwartością mówiono o błędach, o zaletach i zaniedbaniach, domagano się ich szybkiej naprawy. Pozostało jednak jeszcze szereg pytań, które w konkretnych warunkach wymagają szybkich odpowiedzi. Tak jest również w łomżyńskiej kulturze. Są tu wieloletnie zaniedbania, świadczące o bezradności ludzi, którzy powinni za nie być odpowiedzialni. Czy rzeczywiście wielu z nich nie można było usunąć wcześniej? Podejrzewam, że mówienie o „trudnościach obiektywnych” może być tylko prawdą częściową. W wielu przypadkach jest to po prostu niechęć do spraw kultury i jej problemów. Gospodarze miasta nie zdają sobie w pełni sprawy z roli jaką kultura powinna spełniać w życiu stolicy województwa.

Pisać raz jeszcze o przedłużającym się remoncie kina w Łomży jest już dzisiaj absurdem. W tej sprawie powinien zabrać głos prokurator, bo nie sądzę aby jakiegokolwiek inne interwencje mogły tu cokolwiek pomóc.

W wielu miastach naszego województwa dawno znalazły się przyzwyczajone lokale na księgarnie. W Łomży okazało się, że pilniejszą sprawą jest otwarcie kolejnej sali bankietowej. Trudno więc mówić o braku lokalu. Wszystko wskazuje na to, że ta ważna placówka będzie nadal pracować w tak skandalicznych warunkach. Czy tak musi być?

Dziesiątki nierozpakowanych nowości wydawniczych w bibliotece; ciemna, ponura, wilgotna czytelnia. Placówka naukowa z bogatym księgozbiorem zamieniona w pomieszczenia biurowe. A przecież kiedy przyjechałem tutaj przed trzema laty było jeszcze inaczej. Rozrasta się administracja, maleje dostęp do książki. Czyżby nie było innego wyjścia?

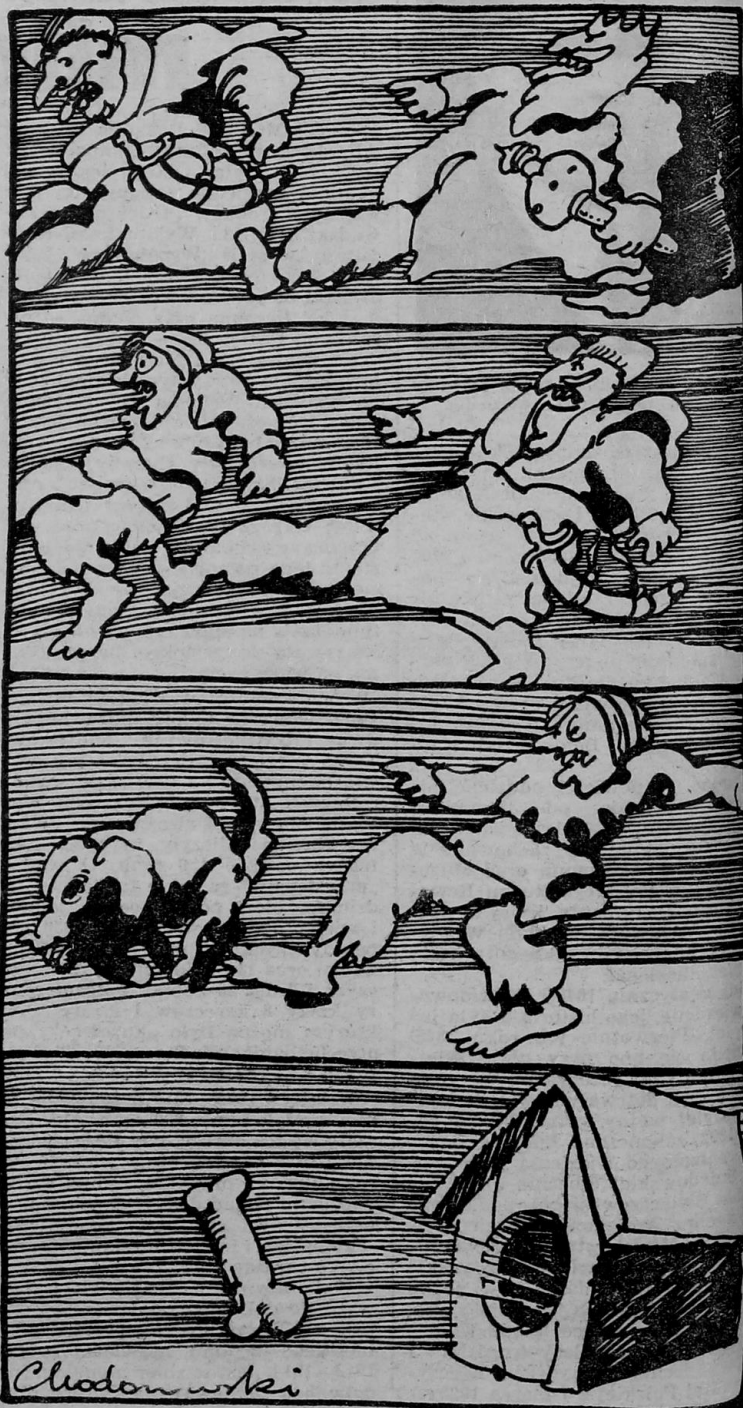
Dom Kultury zamienił się w biurowiec. Stosowane półśrodki z roku na rok pogarszają sytuację.

Piszę o tym wszystkim z goryczą i smutkiem, ale inaczej mówić już trudno. Od lat postuluje, mówię o potrzebie stałej umowy z dobrym, kameralnym teatrem warszawskim. Nikt tego nie słyszy. To, z czym przyjeżdża do Łomży teatr białostocki, reprezentuje taką pozycję, że nie ma chyba sensu kontynuować współpracy. Wszelkie możliwe estrady upatrzyły sobie niezłego „jelenia” w Łomży. Zakłady pracy, które na imprezy wykupują drogie bilety, mają co prawda w ten sposób załatwioną pozycję: kultura i rozrywka. Tylko czy naprawdę o taką kulturę chodzi ich pracownikom? Chyba nie, skoro bilety są wykupione a sala świeci pustkami.

Wiele nadziei pokładano w powołaniu do życia Domu Środowisk Twórczych. Jednak przybyły do budynku klubu „Bonar” szyl, pozostaje ciągle wizytówką bez pokrycia. Działalność tej instytucji wypełniają: dyskoteka i zebrania związków zawodowych. Czyżby w Łomży było mało innych pomieszczeń do odbywania narad? Ostatnie tygodnie wykazały, że najważniejsze sprawy toczą się w zakładach pracy a nie przy stołach nakrytych zielonym sukniem. Tymczasem w praktyce klub ten jest dla środowiska twórczego na co dzień niedostępny. Odbywające się tam od przypadku do przypadku imprezy artystyczne nie załatwiają sprawy i chyba nie o to w końcu szło w tym przedsięwzięciu.

Poruszyłem zaledwie część spraw, które powinno się wreszcie uporządkować. Zastanówmy się jak je rozwiązać. Bo jeśli się to nie udało, Łomża, mimo bezsprzecznych osiągnięć, pozostanie nadal kulturalną prowincją.

JAN KULKA



Chodanowski



dat

w biuro-
roku na

goryczy
ówie już
mówię o
dobrym
zawskim.
z czym
r białos-
ziom, że
ynuować
we estra-
„Jelenia”
óre na te
bilety
osób za-
rozryw-
aką kul-
? Chyba
ne a sa-

w powo-
rodowisk
y do bu-
d, pozost-
pokrycia
wypełnia-
wiązków
mży było
do odby-
dnie wy-
rawy to-
nie przy-
suknem.
ten jest
co dzień
tam od
orezy ar-
prawy i
o w tym

é spraw
uporząd-
t je roz-
ie udało
ch osią-
kulturalną

KULKA

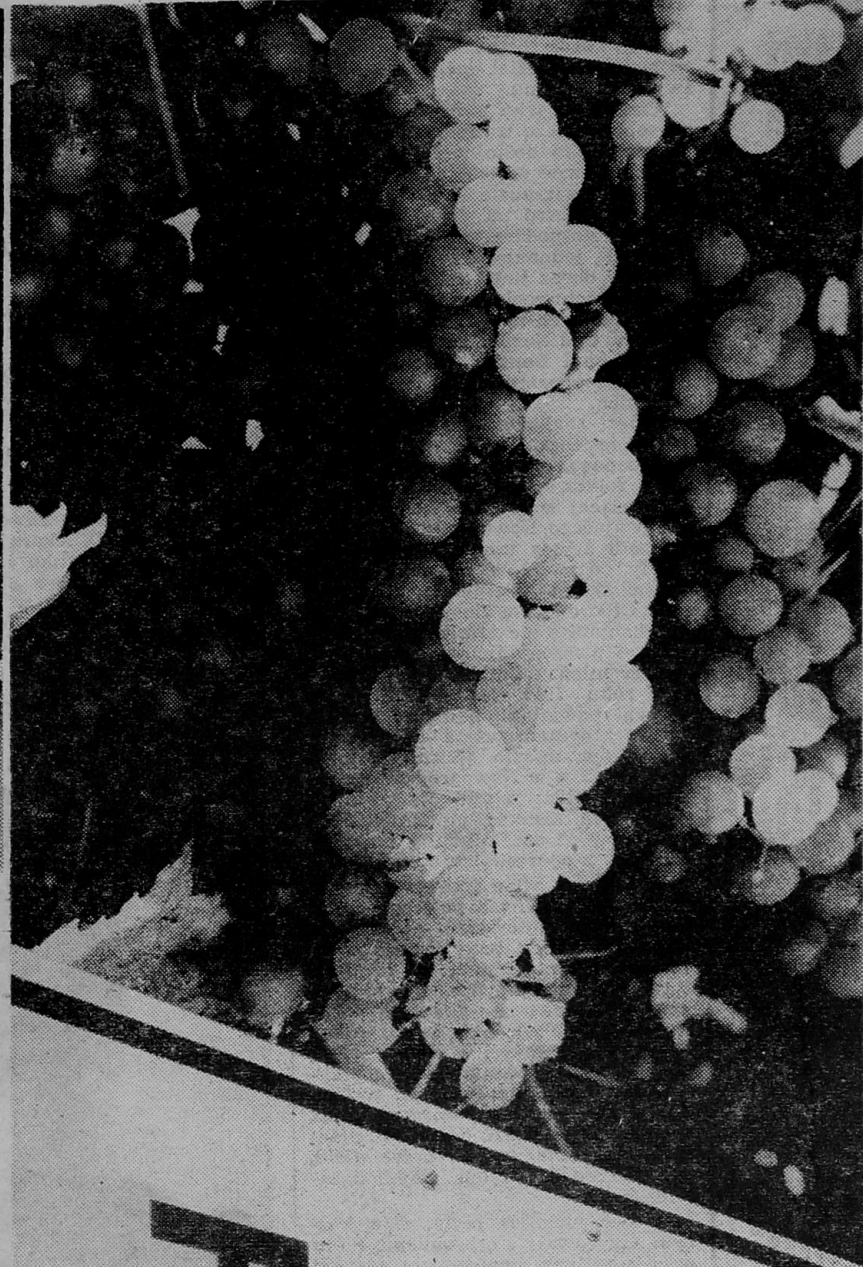


Na słowo „tokaj” znawcy cmokają porozumiewawczo dodając: „asszu”. I nie dziwnego. Słowa te od dawna są synonimem jednego z najlepszych win na świecie. By chociaż w części wyjaśnić tajemnicę smaku tego trunku udałem się do źródła — masłeczka u podnóża góry Tokaj — Erdőbénye. Tu przy ulicy Petőfi i przyjął nas Illész Bálint, który tak jak jego ojciec, dziad i pradziad zajmuje się tylko jednym: wytwarzaniem szlachetnego napoju „asszu”. W miarę ubywania z butelki czerwonego jak krew, płynu, którym pan Illész nas podjął, rozmowa stawała się coraz żywsza. Zwiłżając co pewien czas wyschnięte od uważnego słuchania... gardło zanotowałem: — Od 1937 r. kontynuuję pracę ojca. Powiększyłem ojcowskie poletko, dokupując 2 hektary porośnięte krzakami dzikiej róży. Wykarczowałem je i zasadziłem krzewy winnej latorośli. Zbocze góry (pochodzenia wulkanicznego) pełne kamieni, okazało się dobrodziejstwem dla korzeni winogron. Gdy się nagrzeją pod wpływem słońca, długo trzymają ciepło i kiście dojrzewają równomiernie. Najlepsze winogrona udają się na południowych zboczach. Sądziłem i do tej pory sadzę, dwa gatunki krzaków: Furmint i Hászlevelu. Sprowadzono je przed dziewięćdziesięciu laty z Włoch. Najkorzystniej jest, gdy pod koniec dojrzewania dostaną się pod gradobicie. Niektóre z winnych gron pękają wtedy i pod wpływem słońca tworzy się na nich szlachetna pleśń, zwana też „oczkaami asszu”. Zbiera się je oddzielnie do dużych kadzi i wygniata nogami; lepiej wtedy wyczuwa się pestki, które trzeba oddzielić, gdyż dają cierpki smak. Do przygotowanego w ten sposób musu dodaje się na każde 20 litrów 100 litrów wody destylowanej. Po 24 godzinach odciedza, przepuszczając przez prasę. To, co pozostanie zalewa się kilkuletnim, szlachetnym winem. Po 30 dniach nalewka przestaje „chodzić”. Czeką się jeszcze miesiąc i spuszcza ją z beczki do chwili, gdy zaczyna lecieć gęsta, kolorowa maź, z której potem produkuje się koniaki i popularne na Węgrzech Traubisoda. Natomiast wino w spokoju dojrzewa dalej, stając się po 3—4 latach wspaniałym, klarownym, pełnym wykwintnego bukietu smakowego trunkiem. Najwyższa klasa win to 6 puttonowy (gwiazdkowy), dwunastoletni „Tokaj Asszu” niemal niedostępny na węgierskim rynku. Mam tego wina kilka gąsiorków. Dawali mi 1000 forintów za litr. Nie sprzedam. To moja duma i owoc cierpliwej pracy. Częstouję nim moich gości, którzy mnie potem nigdy nie zapominają! Niestety, z tegorocznych winogron „asszu” nie będzie. Za mało było słońca.

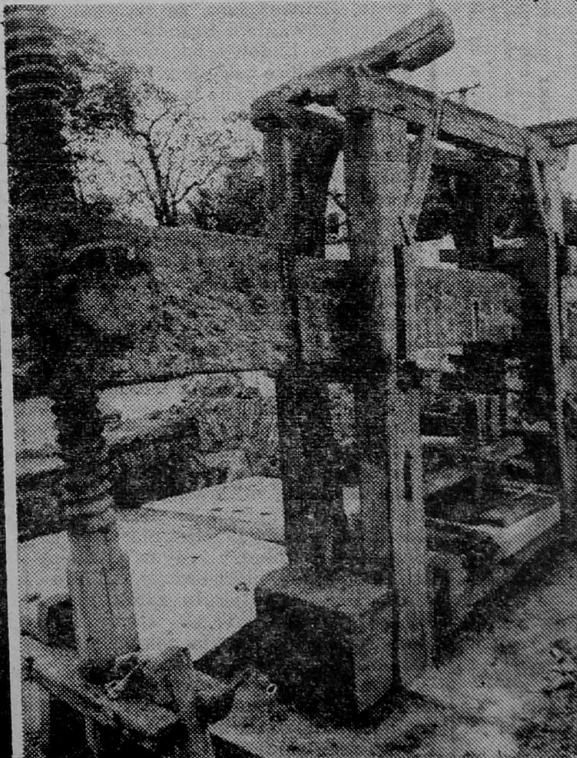
Zwiedziłem dokładnie piwnice pana Illésza; znajdujące się kilka metrów pod ziemią utrzymują stałą temperaturę, która sprzyja dojrzewaniu win w dębowych beczkach, pokrytych kilkudziesięcioletnią pleśnią. Gościnnie gospodarz nie zezwolił wyjść spod ziemi, aż nie spróbowałem wszystkich roczników. A było ich chyba z piętnaście. Gwoli dziennikarskiej sumienności przyznam się, że smaku ostatniego z 1977 już nie pamiętam.

Tekst i zdjęcia

GABOR LORINCZY



Tokaj



WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmuje Oddział RSW, Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny; do 10 grudnia na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartałna 24 zł, półroczna 48 zł, roczna 96 zł, w tym 10% podatku. Prenumeratę w tym celu należy przesyłać do: Oddział RSW, Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 24, 00-640 Warszawa, konto NBP XV Oddział I u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW, Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 24, 00-640 Warszawa, konto NBP XV Oddział I u doręczycieli. Prenumeratę ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla subskrybentów indywidualnych i o 100% dla zakładów pracy.

KONTAKTY

Do Ziemi Łomżyńskiej wiodło mnie kilka dróg w okolicznościach, z których każda rozpoczynała lub kończyła jakiś rozdział epopei tego niezwykłego regionu.

Wtedy, gdy wieś łomżyńska nosiła na sobie jeszcze tradycyjne znamiona, poznałem dostojność tej Ziemi, gdzie zarówno szlachcic na półtoramorgowej zagrodzie pod Zambrowem, czy Kurp na dziesięciohektarowym gospodarstwie pod Turością nosili się jednakowo godnie. Zupełnie inny obraz jawił mi się po dwunastu latach: zasieków i zapór przeciwczołgowych na przyczółkach mostowych nad Narwią pod Wizną, Nowogrodem i Łomżą. Było to w tygodniach poprzedzających pamiętny Wrzesień.

Znów znalazłem się nad Narwią późną jesienią 1945 roku, już nie w roli badacza zafascynowanego urokiem folkloru, ale spiesząc na ratunek leżącym w gruzach Łomży i dogorywającego Nowogrodu. Kto tylko wyszedł żyw z tamtejszej ogniowej strefy, pożywał się tak jako i my z Franciszkiem Pieścikiem i Edwardem Ciborowskim ziemniakami, wygrzebanymi z nie zaminowanego polecia i pieczonymi w ognisku na drodze między Ostrołęką a Łomżą.

W roku 1915 we wsiach tylko dwóch powiatów nadnarwiańskich poszło z dymem ponad 40 tysięcy budynków, miasto Ostrołęka legło w ruinach, a w Nowogrodzie ocalało zaledwie kilka zagrod. Po trzydziestu latach historia powtórzyła się, od Wizny aż do Różana, jakby skopiowana z poprzednich operacji.

Nad wyraz pilne sprawy zaspokojenia elementarnych potrzeb — biologicznych i bytowych — cieszyły się zrozumiałym priorytetem. Równoległe z nimi jednak, a niekiedy nawet przed nimi, trzeba było spieszyć na ratowanie ginących dóbr kultury. Tak właśnie czynił Adam Chętnik w Łomży i w Nowogrodzie, tak też działał później za jego przykładem Kazimierz Uszyński w Ciechanowcu; obaj wspomagani przez podobnych im ludzi. Dóbr tych przecież, nagromadzonych przez wieki, nie oszczędziła żadna wojenna zawierucha.

W tym pięknym regionie, w którym krzyżowały się promienie kilku ognisk kultury, powstawały uczynki i dzieła o nieprzemijającej wartości ogólnonarodowej i ogólnoludzkiej. Dorobek naukowy i społeczny Krzysztofa Kluka i jego współczesnych z Doby Oświecenia, a także popularyzatorska działalność Zygmunta Glogera z tych właśnie pokoleń brały swój początek. Nie dziwnego przeto, iż Ziemia Łomżyńska jako jedyny region rolniczy, może dzisiaj poszczycić się trzema poważnymi instytucjami kulturalno-oświatowymi.

POLEMIKI

SZANOWNY „WYMIATACZU”

Z wielką uwagą czytam Pana pachnącą ploteczką artykuły. Pisane są w różnym stylu i mają posmak sensacji o światku sportowym, a dotyczą różnorodnych problemów — łącznie ze znajomością budownictwa sportowego. Zauważyłem, że szczególnie zainteresowaniem Szanownego Pana cieszą się budowy basenów rekreacyjnych, które tak niemiłosiernie zostały skrytykowane w jednym z artykułów, między innymi za opieszałość w ich realizacji i wymiary. Wszystko to jest prawdą, szkoda jednak, że „Wymiatacz” przed napisaniem swych słów, nie zasięgnął „języka” u tych, którzy zaplanowali te inwestycje. Dowiedziałby się wtedy, że są one realizowane sposobem gospodarczym, w oparciu o skromne możliwości materiałowe i wykonawcze, i właśnie te czynniki wpływają na opóźnienie tempa prac.

Rzeczowa krytyka oparta na prawdziwych faktach jest dopuszczalna i bardzo potrzebna. Czyżby jednak „Wymiatacz” bardziej interesowały ploteczki zasłyszane od łomżyńskich przekupców? Ba, są jeszcze krakowskie. Na farsę zakrawa artykuł zamieszczony w ósmym numerze „Kontaktów” z dnia 17 sierpnia 1980 r., poruszający między innymi problem byłego trenera piłki nożnej A.T. Ponieważ autor artykułu zataił przyczynę odejścia A.T. ze stanowiska trenera, wobec tego ja uchylę rąbka tajemnicy.

Otóż wymogi jakie stawiał przed drużyną trener A.T. nie podobaly się niektórym zawodnikom i na jednym z posiedzeń zarządu Klubu działacze.

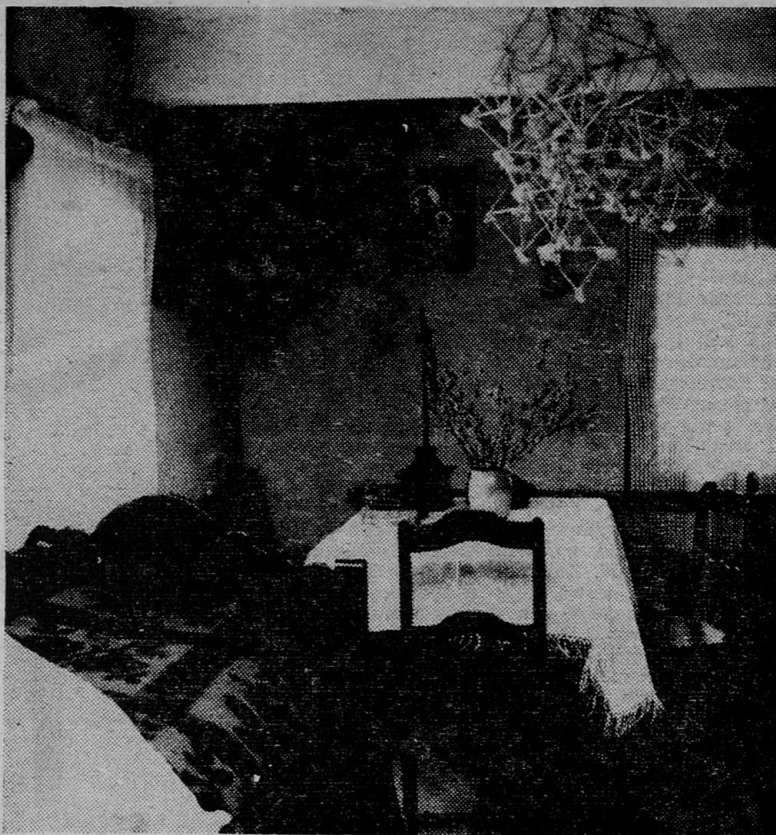
wspólna metryka

mi, których dorobek jest już znany w świecie.

Wszystkie trzy mają wspólną metrykę — inicjatywę społeczną. Najstarsza placówka, Kurpiowski Park Etnograficzny w Nowogrodzie (1919) i drugie dzieło życia Adama Chętnika, Muzeum Kurpiowskie w Łomży (1948) zawdzięczają swe istnienie i sławę tym siłom, które można by nazwać GENIUS LOCI, niestłannym, dalekim od urzędowego schematu i wolnym od bezustannych reorganizacji.

Trzeci, odmienny w założeniach ośrodek badań i krzewienia materialnej kultury, Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu, rodził się i rozwijał z woli miejscowego społeczeństwa. Inicjatorzy — a było ich kilku: historyk sztuki Kazimierz Uszyński, lekarz społecznik — Paweł Olszewski (obaj z Bogut), lekarz weterynarii — Jan Bondarenko i naczelnik miasta Józef Przesław skupili kilkunastu entuzjastów w zorganizowanym Towarzystwie Miłośników Ciechanowca, stanowiącym pierwsze

Fot. Gabor Lörczy



instytucjonalne i „last not least” materialne oparcie ich działalności. W stułetnią rocznicę Powstania Styczniowego dokonano otwarcia Muzeum jako placówki społecznej, włączonej po upływie pięciu pracowitych lat do państwowej sieci muzeów.

Po kilku następnych latach, w dwusetną rocznicę powołania Komisji Edukacji Narodowej, ta skromna prowincjonalna placówka muzealna skupiła na sobie uwagę świata naukowego w kraju i za granicą, urządziwszy sesję poświęconą idei Doby Oświecenia w Polsce. Zapoczątkowana tą drogą współpraca z Polską Akademią Nauk, Uniwersytetem Warszawskim i trzema krajowymi uczelniami rolniczymi wprowadziła ciechanowiecką placówkę do rzędu poważnych zakładów naukowo-badawczych.

Dziś, w ćwierćwiecze pięknej inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ciechanowca, Muzeum ma w swej dyspozycji oprócz zabudowań pałacowego zespołu około dwudziestu

zabytkowych, drewnianych budynków, przeniesionych z okolicznych zaścianków i składających się na park etnograficzny typu skansenowskiego na obszarze około 5 hektarów. Dawne zabudowania dworskie służą celom wystawienniczym, urządzono według czterech głównych działów problematyki rolniczej w ujęciu historycznym: produkcji roślinnej i zwierzęcej, transportu i mechanizacji.

Dział przechowywania zboża urządzono w drewnianych, starych spichlerzykach, ustawionych w etnograficznym parku. Proces uszlachetniania i przemiału ziarna ukazano w wiatrak i w miejscowym młynie wodnym, wchodzącym w skład dawnej, dworskiej zabudowy. Jest również kuźnia z kompletem tradycyjnych narzędzi, pasieka z zespołem uli kłódowych i ramowych, jest niezwykle stodoła przeniesiona z Tymianek, mechanizm drewnianego maneża konnego wraz z rotundą nakrytą stożkowym dachem. Narzędzia ręcznej pracy wyeksponowane w dworskim lamusie przeniesionym z Rudki.

Problematyka folkloru, a właściwie trybu życia ludności wiejskiej i pogranicza wschodniego Mazowsza i zachodniego Podlasia, została ukazana w dziesięciu zagrodach. Celowo dobrane i ustawione rozwijają chaoty (od jednoizbowej — komornika do pięcioizbowej — zaściankowej szlachty) tworzą nacechowaną autentyzmem panoramę dziewiętnastowiecznego osiedla.

Godzi się tu zaznaczyć, że spośród kilkunastu większych niż ciechanowieckie, skansenowskich muzeów polskich (a śmiem twierdzić, że i zagranicznych) żadne nie zdobyło się na taką zasadną kompozycję, wynikającą z analizy tradycyjnych obiektów gospodarstwa wiejskiego, podporządkowaną dydaktycznej idei. Operując różnymi metodami wystawienniczymi przekształcono zbiór nieruchomych i ruchomych eksponatów w przestrzenny dokument materialny, ukazujący wielostronnie naświetloną historię kultury rolnego regionu, słynnego w przeszłości ze znakomitych osiągnięć. Trzeba z uznaniem przyznać, że nikt przed Kazimierzem Uszyńskim tak realistycznie i zrozumiale nie odtworzył obrazu gospodarstwa wiejskiego z epoki poprzedzającej wojenne kataklizmy, jakie nawiedziły Łomżyńskie. Gdyby nie jego pasja i zaangażowanie wiejskiej społeczności, nie powstałoby Muzeum, zaginąłby wszelki ślad po niepowtarzalnych dokumentach dziejów wschodniomazowieckiego rolnictwa nie tylko w ich materialnej postaci, ale i w legendzie.

Prof. dr IGNACY F. TŁOCZEK

działacze w ofensywie

WFS i inne czynniki wymienione w artykule, grzecznie wykopały trenera jak przysłowiowego kartofla jesienią. I faktycznie odbyło się to jesienią. Szkoda, że wtedy wokół tej sprawy nie wrzało jak w ulu i nie znalazł się taki obrońca jak „Wymiatacz”. Zamiast kilku niesfornych zawodników wygnano na banicję trenera. Autor artykułu użył między innymi takiego sformułowania, cytując: „Ci co znają A.T. dłużej wiedzą, że to solidny człowiek i dobry fachowiec, pracujący zawsze z zaangażowaniem”. Wydawać się to może dziwne, że taki solidny człowiek, dobry fachowiec, pracujący zawsze z zaangażowaniem, musiał uciekać z Klubu. Czy też za akceptacją władz sportowych? I kto tu kogo wystrychnął na dudka. Sądzę, że Klub miał dobrego trenera w osobie A.T., człowieka, jak napisano, o wielkich walorach. Co więc stało na przeszkodzie, że musiał odejść? Panowie, ambitnemu trenerowi z banicji trudno wracać i to na niższe stanowisko w Klubie — szkoleniowca młodzików.

Po odejściu z Klubu A.T. zatrudniony został z dniem 1.I.1980 r. w Wojewódzkim Ośrodku Sportu i Rekreacji, na stanowisku kierownika stadionu w Łomży. W miesiącu lipcu 1980 r. Klub wystąpił do dyrekcji WOSiR w Łomży o wyrażenie zgody na podjęcie pracy przez Ob. A.T. na 1/2 etatu w charakterze trenera zespołu młodzików. Na co ja nie wyraziłem zgody. Taką, a nie inną decyzję podjąłem po pierwsze — na podstawie pisma Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży Nr KFT 118/1/79 z dnia 8.01.1980, przypominającego o

konieczności bezwzględnego przestrzegania zasad ujętych w Zarządzeniu Nr 81 Prezesa Rady Ministrów z dnia 19.10.1973 r. w sprawie zatrudnienia pracowników w dodatkowych miejscach pracy (między innymi zakazu podejmowania zatrudnienia w dodatkowych miejscach pracy przez pracowników zajmujących stanowiska kierownicze); po drugie — Ob. A.T. jako kierownik obiektu nie byłby w stanie w tym samym czasie pogodzić tak szerokiego zakresu obowiązków na swoim stanowisku z pracą trenera, a szczególnie z wyjazdami na mecze.

Dyrektor też wszystkiego nie może, obwarowany jest przepisami i zakazami, których winien przestrzegać. Jednakże organ administracji państwowej, któremu jestem podległy, mógłby uchylić moją decyzję i wyrazić zgodę na dodatkowe zatrudnienie A.T. bez mojej zgody.

Reasumując całość sprawy pragnę zaznaczyć, że nie kierowałem się złą wolą ani też ważnością stanowiska, jak pisze „Wymiatacz”.

ZDZISŁAW BARANOWSKI
Dyrektor WOSiR w Łomży

SZANOWNY PANIE DYREKTORZE

Nie wiem skąd Pan wziął informację, że łomżyńskie przekupki plotkują o sporcie. Przypuszczam, że interesuje je wszystko inne, tylko nie sport tak jak i większość łomżyńskich Twierdzi Pan: „z wielką uwagą” czytają pachnące ploteczki artykuły”. Gdyby robił Pan to istotnie, to nie „uchylałby Pan rąbka tajemnicy”, gdyż w artykule pt. „Konto

odblokowane” pisałem o kulisach odejścia Andrzeja Targa z Klubu („...po co zadzierał z piłkarzami? Wyśadzano z siodła słynniejszych od niego”). A objęcie opieką drużyny juniorów, a nie jak Pan pisze młodzików, nie byłoby powrotem na niższe stanowisko, bo Targ sam chciał pracować z młodzieżą i właśnie ona musi mieć dobrych nauczycieli (w myśl mądrości „Czego się Jaś nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał”). Targ dobrze o tym wie i Pan chyba też.

Jeśli chodzi o Pańską decyzję w sprawie nieudzielenia zezwolenia Andrzejowi Tardze na szkolenie młodzieży w ŁKS-ie, to w dalszym ciągu wszystkich świadczy, że powoływano się na pismo WKFiT jest (niech się Pan nie obrazi) asekurantwem. Pismo to dotyczyło bowiem kierowników instytucji szczebla wojewódzkiego, czyli między innymi Pana i Pańskiego zastępcy, a nie kierownika stadionu. Organ administracji państwowej, któremu jest Pan podległy nie musiał decyzji uchylać, bo ustalono wcześniej, właśnie z nim, że Andrzej Targ ma trenować juniorów w ŁKS-ie (o czym Pan dobrze wie). Zresztą jak pisałem „...nie chodzi tu tylko o sprawę Andrzeja Targa, idzie o coś więcej”. Trenerowi, który przyjdzie na jego miejsce, prawdziwie załatwić mieszkanie, prawdziwie podobnie pracę dla żony, być może miejsce w żłobku lub przedszkolu dla dziecka. Poza tym fama o takim traktowaniu ludzi idzie w Polskę — nie przynosi nam chwały.

„WYMIATACZ”

CZWARTEK 16 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR - matematyka, sem. I: „Wzrost krótkiego mnożenia. Potęga o wykładniku całkowitym”.
6.30. TTR - biologia, sem. I: „Budowa i czynności głąw”.
8.10. Przeproszenie obywateli, kl. VIII.
11.00. „Zaszczytny obywatel”.
12.50. Język polski, kl. II-IV lic.: „Balada”.
13.30. TTR, RTSS - matematyka, sem. III: „Suma wyrazów nieskończonego ciągu geometrycznego”.
14.00. TTR, RTSS - biologia, sem. III: „Rozmnażanie i rozwój organizmów”.
15.25. Decyzje piętnastolatków”.
16.30. Dziennik Telewizyjny.
16.30. TDC, m.in. „Dick Turpin”.
17.30. Magazyn motoryzacyjny.
18.00. Telewizja Młodych.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Sonda”: „Ciepło - zimno”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Sztaty McCloud”: „Apartament w ekskluzywnym hotelu”.
21.25. Pęty.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. Kronika Konkursu Chopinowskiego.

PROGRAM II

10.00. „Sonda”: „Ciepło - zimno”.
10.25. Magazyn motoryzacyjny.
10.50. Studio Bis.
11.50. Kronika Konkursu Chopinowskiego.
16.05. Język rosyjski, lekcja 2.
16.35. Język francuski, lekcja 2.
17.00. STUDIO BIS.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. NURT - pedagogika.
20.40. NURT - psychologia.
21.10. 24 Godziny.
21.25. Puchar Europy w koszykówce mężczyzn: „Słask” Wrocław - CSKA Moskwa.
22.05. Wieczór Filmowy: „John Grierson” - film biograficzny.
22.05. NURT - matematyka: „Przesuwanie równoległe jako funkcja określona na zbiorze punktów płaskich”.

PIĄTEK 17 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS - matematyka, sem. III: „Suma wyrazów nieskończonego ciągu geometrycznego”.
6.30. TTR, RTSS - biologia, sem. III: „Rozmnażanie i rozwój organizmów”.
8.10. Geografia, kl. VIII: „Skrajności geograficzne Azji”.
10.00. Wokół nas, kl. I: „Koledzy”.
12.50. Geografia, kl. VIII: „Wielka równina preri”.
13.30. TTR - uprawa roślin, sem. I: „Składniki gleby”.
14.00. TTR - mechanizacja rolnictwa, sem. I: „Pompy i sprężarki”.
15.20. NURT - pedagogika.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Kółko graniaste”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.20. „Rodzina Polanieckich” (4): „Narzeczeni”.
18.40. Radzimy rolnikom.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Camerata”: Konkurs Chopinowski.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Ładny parę lat życia” - program rozrywkowy.
21.05. Rozmowa z kpt. Stefanem Wesolowskim.
21.15. I liga hokeja na lodzie.
21.45. „Czy więcej wiemy...?” - program popularyzacyjny.
22.10. Dziennik Telewizyjny.
22.25. Kronika Konkursu Chopinowskiego.

PROGRAM II

10.00. „Rodzina Polanieckich” (4): „Narzeczeni”.
11.20. „Uśmiech spod parasola”.
11.40. Kronika Konkursu Chopinowskiego.
16.10. Język francuski, lekcja 2.
16.35. Język rosyjski, lekcja 2.
17.05. Kino „Obiezwład”.
17.35. Małe Kino: „Vendeta” - polski film animowany.
17.45. Klub Jazzowy Studia Gama.
18.25. Miniatury fabularne.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Spotkanie w Dwójce. „Gdzieś w małym miasteczku” (2) - serial obyczajowy.
21.25. 24 Godziny.
21.40. „W pewien sposób” - kubański dokument fabularny.

SOBOTA 18 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR - uprawa roślin, sem. I: „Składniki gleby”.
6.30. TTR - mechanizacja rolnictwa, sem. I: „Pompy i sprężarki”.
13.30. TTR - uprawa roślin, sem. III: „Biologia i odmiany zbóż”.
14.00. TTR - uprawa roślin, sem. III: „Tęczy”.
15.25. „Pieśń silniejsza od grzmotu” - historia hymnu Narodowego.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Sesam”.
17.00. Telewizja Młodych.
17.30. „Świat, który nie może zginąć”.
17.55. I liga piłki nożnej.
18.50. Dobranoc.
19.00. Estrada Folkloru.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Do krwi ostatniej” (I): „Układ” - telewizyjny serial historyczny Jerzego Hoffmana.
21.15. „Bliż i dalej” - program reporterów.
21.45. Kronika Konkursu Chopinowskiego.
22.05. Dziennik Telewizyjny.
22.20. Program rozrywkowy.

PROGRAM II

17.00. „Być z tobą” - recital Zdzisławy Sośnickiej.
17.20. „Wojna domowa” (12) - „Monolog zewnętrzny”.
17.50. Wulkany świata - „Niragongo”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Halo, Tu Orkiestra i Balet Telewizji Czechosłowackiej”.
21.15. „Mój Londyn” (odc. 7 - ostatni).
22.10. „Uśmiech spod parasola”.
22.30. „Poeci recytują wiersze” - Joanna Kulmowa.

NIEDZIELA 19 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.10. TTR - uprawa roślin, sem. III: „Biologia i odmiany zbóż”.
6.40. TTR - hodowla zwierząt, sem. III: „Tęczy”.
7.10. TTR - „Nasze spotkania”.
7.30. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Telewizjada”.
9.00. Teleranek, m.in. „Niedźwiedź pana Adamsa”.
10.20. Antena.
10.45. Republiki Radzieckie: „Tam, gdzie tańczy Moldawianin - ziemia chodząca pod nogami”.
11.35. Reportaż filmowy.
11.55. I liga piłki nożnej.
12.45. Dziennik Telewizyjny.
13.05. Rolnicze rozmowy.
14.00-22.10. Tylko w Niedziele.
17.35. „Przygody Sindbada” - „Przygoda z syreną”.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Z biegiem lat, z biegiem dni” (7): „Kraków 1907”.
21.50. Sportowa niedziela.

PROGRAM II

10.10. „Krótkofalowy” - program wojkowy.
10.40. Spotkanie w Dwójce. Przeboje tygodnia.
12.05. „Z biegiem lat, z biegiem dni” (7): „Kraków 1907”.
13.40. „Popołudnie fauny i flory”.
14.25. W Starym Kinie - nasi ulubieńcy: Filip i Flap.
15.35. „Spotkanie z gwiazdą” - Matia Bazar.
16.15. Sportowy magazyn sprawozdawczy.
17.40. „Milion pogodnych nutek”.
18.00. Teatr Sensacji, Raymond Chandler: „Bliż serca”.
19.05. Nagrodzone na Festiwalu: „Od-wiedzin” w reż. Radosława Piwowarskiego (Srebrny Lajkonik na FFK w Krakowie w 1977 r.).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Spotkanie w Dwójce. „Życie na ziemi” (3): „Pierwsze lasy”.
21.15. Piosenki z Kabaretu Olgi Lipińskiej.
21.45. „Diagnoza śmierci” - czechosłowacki film kryminalny.

PONIEDZIAŁEK

20 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

13.30. TTR - język polski: „Trwałe wartości literatury staropolskiej”.
14.00. TTR - chemia: „Sole”.
15.20. NURT - pedagogika.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Zwierzyńce.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.20. „Polskie drogi” (8): „Bez przydziału”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Radzimy rolnikom.
19.10. Echo stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Koncert laureatów X Konkursu Chopinowskiego.
21.10. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. „Polskie drogi” (8): „Bez przydziału”.
17.00. Studio Bis.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio Bis.

WTOREK 21 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR - język polski: „Trwałe wartości literatury staropolskiej”.
6.30. TTR - chemia: „Sole”.
8.10. Historia, kl. VIII: „Polska pod rządami autorytarnymi”.
9.00. Język polski, kl. V: „Jan Matejko”.
9.55. „Czerwone, żółte, zielone” - Rady pana milicjanta dla kl. I-III.
11.00. Język polski, kl. III lic.: Wyspiański - „Wesele”, odc. 3.
13.30. TTR - język polski: „Wstępna charakterystyka polskiego pozytywizmu”.
14.00. TTR - fizyka: „Drgania i fale akustyczne”.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.55. Interstudio.
17.20. Dom i my.
17.40. Magazyn Telewizji Młodych.
18.25. „Królik Bugs przedstawia”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Lekarz radzi.
19.10. Świadkowie.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Twój współczesny”: „Hotel klasy lux” - polski film społeczno-obyczajowy.
21.45. Poglądy - program publicystyczny.
22.00. Dziennik Telewizyjny.
22.15. „Rozmowy polsko-polskie”, program rozgłosek Krzysztofa T. Toepfla.
22.45. Małe Kino: „Latarnia magica” - polski film animowany.

PROGRAM II

10.00. „Telefon 116”: „Zbuntowana” - film TV NRD.
11.25. Sześciółko i oko - magazyn popularyzacyjny.
15.25. Język niemiecki, lekcja 3.
15.50. Język angielski, lekcja 3.
16.20. Sekrety kina.
17.00. „Latający Holender”.
17.30. Tak czy inaczej.
18.00. „Sześciółko i oko”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Bez recept - rozmowy o wychowaniu.
21.50. Teatr Wspomnień (1970) - Włodzimierz Majakowski: „Trzynasty apostoł”.

ŚRODA 22 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

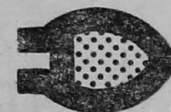
6.00. TTR - język polski: „Wstępna charakterystyka pozytywizmu”.
6.30. TTR - fizyka: „Drgania i fale akustyczne”.
9.55. Fizyka, kl. VII: „Wzajemne oddziaływanie ciał”.
13.30. TTR - matematyka: „Potęga o wykładniku”.
14.00. TTR - wskazówki metodyczne: „Jak się uczyć mechanizacji rolnictwa”.
15.20. NURT - matematyka.
16.15. Dziennik Telewizyjny.



Łódź, kino „Październik”: 16-19 X - „Hair”, prod. USA (od lat 15); 20-22 X - „Nasferatu - wampir”, prod. RFN (od lat 15).
Ciechanowiec, kino „Meteor”: 16-17 X - „Powodzenia stary”, prod. franc. (od lat 15); 18-19 X - „Blizna”, prod. pol. (od lat 15); 21-22 X - „Gang Olsena wpada w szal”, prod. duń. (od lat 12).
Grajewo, kino „Relaks”: 16 X - „Sole dla starszej pani”, prod. CSRS (od lat 15); 17-18 X - „Przygody Gerarda”, prod. ang. (od lat 15); 19-20 X - „Porażenie prądem”, prod. węg. (od lat 15); 21-22 X - „Przytłumiony uczeń”, prod. franc. (od lat 18).
Jedwabne, kino „Oaza”: 16 X - „Ucieczka na Ateny”, prod. ang. (od lat 15); 18-19 X - „Małżonkowie roku II”, prod. rum. (bez ograniczeń); 22-23 X - „Okupacja w 26 obrazach”, prod. jug. (od lat 18).
Kołno, kino „Wrzós”: 16-17 X - „Gorące polowanie”, prod. jap. (od lat 15); 18-19 X - „Ingo zagrał w filmie”, prod. ZSRR (od lat 12); 20-22 X - „Szał”, prod. ang. (od lat 18).
Nowogród, kino „Ziemowit”: 18-19 X - „Milioner”, prod. pol. (od lat 12); 21-22 X - „Tajemnica”, prod. franc. (od lat 15).
Stawiski, kino „Saturn”: 16-17 X - „We władzy ojca”, prod. wł. (od lat 18); 18-19 X - „Nie zasniesz spokoju”, prod. pol. (od lat 18); 21-22 X - „Człowiek kłanu”, prod. USA (od lat 18).
Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 16-17 X - „Pierwsza miłość”, prod. wł. (od lat 18); 18-19 X - „Sabina Wulff”, prod. NRD (od lat 15); 21-23 X - „Chłopski syndrom”, prod. USA (od lat 15).
Zambrów, kino „Kosmos”: 16-17 X - „Piękna i potwór”, prod. ZSRR (od lat 12); 18-19 X - „Urodziny młodego Warszawiaka”, prod. pol. (od lat 12); 20-22 X - „Niewierna żona”, prod. franc. (od lat 18).
Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.



Muzeum Okręgowe w Łodzi, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni świątecznych): w wtorki i czwartki w godz. 11.00-18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00-15.00, w niedziele w godz. 11.00-15.00. Wystawy: „Rzeźba i tkanina Kurpiowskiej Puszczy Zielonej” - wystawa etnograficzna ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Ostrołęce i własnych; „Bursztyn nadnadrzańsk” - wystawa prezentująca wydobywanie i obróbkę oraz wyroby z bursztynu.
Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie Oddział Muzeum Okręgowego, czynne codziennie (z wyjątkiem



Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie -



Wojewódzki Dom Kultury w Łodzi: Wieczór Łódzkiego Klubu Literackiego poświęcony twórczości Czesława Miłosza, 22 X, godz. 18.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: „Grajewo nocą” - wystawa fotografów Lecha Witosa (do 30 X); wystawa pocztówek i wydawnictw o temacie

16.30. „Michałki”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.30. Turystyka i wypoczynek.
17.55. Tele-gol.
18.20. Konfrontacje.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Kino Interesujących filmów: „Dziwna kobieta” - radziecki film obyczajowy.
22.05. Dziennik Telewizyjny.
22.20. Zaczynamy od Mory Lisy.
22.50. Wieczór profesorów: „Teoria i praktyka”.

PROGRAM II

10.00. „Piknik na wyspie” - film kryminalny TV NRD.
11.25. Zaczynamy od Mory Lisy.
11.55. Wieczorynki historyczne: „Rzecz o Janku z Czarnkowa”.
15.40. Język angielski, lekcja 3.
16.10. Język niemiecki, lekcja 3.
17.05. TWP: „Nasze jutro zależy od ciebie”.
17.35. „Piknik na wyspie” - film kryminalny TV NRD.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Słowo za słowo.
20.40. „Rzecz o Janku z Czarnkowa”.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Poradnia „Zaufanie”.
22.00. Jazz Jamboree 80 - II część koncertu inauguracyjnego.

poniedziałków i dni świątecznych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1) Wnętrze chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, 12 obrazów artystów ludowych Anny Kordeckiej, 12 obrazów z wystawą obrazującą przemianę i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworcu z Brzoze wystawa archeologiczna - „Pradzieje Nowogrodu”. 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik - życie i działalność”.
Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowie, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni świątecznych) w godz. 9.00-16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00-19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (technika uprawy, pastewnictwo, hodowla, transport węgla, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wewnątrz. Wystawa czasowa: „Len - roślina przemysłowa” (tradycyjna obróbka lnu, wyroby lniane, len jako surowiec).

oprócz niedziel i dni świątecznych - w godz. 8.00-18.00, w soboty w godz. 8.00-15.00: „Wędrowni wakacyjne z aparatem fotograficznym” - wystawa prac członków szkolnych kół fotograficznych.
Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 10 (czynny codziennie - oprócz poniedziałków i dni świątecznych) - w godz. 12.00-18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00-16.00: „Polskie orły” - wystawa tkanin artystycznych Elżbiety Piwowarczyk (do 17 X).
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: inauguracja roku pracy kulturalno-oświatowej, 17 X, godz. 10.00; święto pieczonego ziemniaka (na dyskotecę jesienne), 18 X, godz. 18.00; wystawa prac olejnych Stefani Matysiewicz, czynna do 21 X w godz. 8.00-18.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrze: „Ludowe Wojsko Polskie” - wystawa prac plastycznych dzieci (do 30 X).

tyce przyrodniczej i krajoznawczej (20-30 X); spotkanie z pracownikiem PTTK, poświęcone problematyce ochrony przyrody w województwie łódzkim, 21 X, godz. 17.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: inauguracja roku pracy kulturalno-oświatowej, 17 X, godz. 10.00; święto pieczonego ziemniaka (na dyskotecę jesienne), 18 X, godz. 18.00; wystawa prac olejnych Stefani Matysiewicz, czynna do 21 X w godz. 8.00-18.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrze: „Ludowe Wojsko Polskie” - wystawa prac plastycznych dzieci (do 30 X).

32-44 - dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 - Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) - Pogotowie Energetyczne.
999 - Pogotowie Ratunkowe.
998 - Straż Pożarna.
Pogotowie Pierwszej pomocy, ul. M. Skłodowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

W razie potrzeby

OGŁOSZENIA DROBNE

JEZYK niemiecki - korepetycje, tłumaczenia. Tel. 31-56. Jankowski. Lg 3058-1
DZIAŁKĘ pod budowę domu lub domek jednorodzinny w Łodzi lub okolicy - kupię. Lyse, ul. Poległych 27. Lg 3061-1
DOM (centralne ogrzewanie, woda bieżąca), budynek gospodarczy,

ogród - w Nowogrodzie ul. Zielenia 3 - sprzedam. Oferty przysyłać: Halina Bernatowicz. 04-057 Warszawa, ul. Fundamentowa 49/51 m. 15. pŁ 2052-1
SZCZESLIWE kojarzy małżeństwu Biuro Matrimonialne Mazury Olstyn 2 skr. 336. Lk 3737-0

KONTAKTY

